

Bianka Minte - Konig

SMS z zaświatów

## Rozdział 1

### Tajemniczy nagrobek

- Okrutny ojciec! Co zrobiłeś?... Złamałeś różę, nim burza oberwała jej liście... (Gotthold Ephraim Lessing, Emilia Galotti, przekład W. Sabowski)

Cytując słynnego dramaturga Lessinga, Yannik wyskoczył zniechęcony z powodu nagrobka.

Kłęczałam właśnie przed grobem i szkicowałam w zeszycie najróżniejsze kształty liści bluszczu do naszego projektu z biologii. Zerwałam się przestraszona.

- Mam już dość, Yannik! - objechałam go rozeźlona, zebrałam kilka kartek i ołówki, które upadły mi na ziemię, i włożyłam wszystko do plecaka. - Schowaj sobie swój bluszcz razem ze zmarłymi pisarzami do albumu z wierszami! A teraz idę na żagle!

Gniewnie odwróciłam się plecami do zaskoczonego chłopaka i grobu artysty i szybkim krokiem ruszyłam w stronę wyjścia z cmentarza. Akurat teraz, wiosną, gdy rozpoczął się sezon żeglarski, naprawdę miałam ciekawsze zajęcia niż przesiadywanie z nudziarzem jak Yannik między grobami! Brrr! Już choćby ta atmosfera śmierci i przemijania. Depresji można było dostać.

- Ależ Conny! Co ty wyprawiasz? Przecież jeszcze nie skończyliśmy! - zawołał za mną zdumiony Yannik.

Kiedy schylając pod wielkim rododendronem, dyskretnie zerknęłam za siebie, kłęczał przed nagrobkiem i gorączkowo kontynuował przerwane przeze mnie rysunki. No i dobrze, pomyślałam skwaszona. Na dziś miałam już dość.

Od razu doszłam do wniosku, że nasza biologica miała makabryczny pomysł, każąc klasie spędzać tydzień projektowy na badaniu przyrody cmentarza. Cmentarze niszami ekologicznymi miast! I czy na partnera musiałam akurat dostać tego nadgorliwca Yannika? Kiedy na początku

roku przyszedł do naszej klasy, wydawał mi się - mimo długiego nosa i śmiesznych loczków - całkiem sympatyczny. Ale później, gdy okazało się, że zawsze wszystko wie lepiej i zakuwa na potęgę, moje zainteresowanie jego osobą szybko spadło. Jeśli chodzi o projekt cmentarny, to moje obawy w pełni się potwierdziły. Absolutnie do niego nie docierało, że nie miałam ochoty na przedzieranie się przez ten stary cmentarz i częściowo rozsypujące się groby, i zachwycony natychmiast rzucił się do pracy.

Ruszyłam złą wąską ścieżką prowadzącą do głównego wyjścia. Wiła się wśród bujnie rozrośniętych cisów, odgradzających kwaterę grobów z imponującymi krzyżami z piaskowca od pozostałej części cmentarza. To jednak nie te naprawdę niesamowite krzyże sprawiły, że nagle przystanąłam.

Między rozłożystymi konarami ciemnego cisu stał porośnięty bluszczem i zielonym pnączem głąz, który wręcz magicznie przyciągał mój wzrok. Tak idealnie zlewał się z otaczającą go roślinnością, że na pewno nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie jaśniejąca na nim plama. Schyliłam się i prześlizgnęłam pod gałęziami, żeby zobaczyć go z bliska. Kamień był nieco wyższy ode mnie i kiedy stanęłam tuż przed nim, wzdrygnęłam się przestraszona.

Wpatrywałam się bowiem prosto w nieskazitelną, marmurową twarz młodej kobiety, zamkniętą w owalnej płaskorzeźbie w górnej części głązu. Zimny prąd przeszył moje serce, gdy dziwnie poruszona odczytałam inskrypcję:

Mojej jedynej miłości.

Wilhelm

Byłam już prawie pod klubem żeglarskim, a mimo to wciąż miałam wrażenie, jakby liznął mnie lodowaty podmuch, który na ułamek sekundy zamienił moje serce w sopel lodu. Czyste szaleństwo!

Naciskałam mocniej na pedały roweru i wdychałam pełną piersią rześkie wiosenne powietrze. Gdy dojechałam do podmiejskiego jeziora, lekko pomarszczone fale lśniły w promieniach słońca niczym żywe srebro. Co za piękny dzień i jak to niezdrowo spędzać go na cmentarzu. Niektórzy uważają takie miejsca za romantyczne, ja, niestety nie mogłam się pod tym podpisać. Już jako dziecko odczuwałam strach w pobliżu cmentarza i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby dobrowolnie przekraczać jego bramę. Odkąd zimna, czarna ziemia przykryła trumnę mojej ukochanej babci, cmentarz stał się dla mnie przytłaczającym miejscem, które odwiedzało się jedynie po to, aby w ciszy porozmawiać ze zmarłym. Dlatego wcale mi nie odpowiadało, że z powodu projektu musiałam znaleźć się właśnie w tym miejscu, a żeby Yannik tego nie zauważył, uciekałam się do sarkazmu. Tego tylko brakowało, żeby uznał mnie za mięczaka!

Nawiasem mówiąc, projekt pochłaniał sporo wolnego czasu, który wolałabym spędzić z pewnym ciekawym facetem. Odkryłam go, gdy zawijał do przystani w klubie żeglarskim. Znacznie ważniejsze od liczenia stokrotek między starymi grobami było dla mnie pozbycie się pierwszorzędnego problemu: w przeciwieństwie do swoich przyjaciółek jako jedyna nie miałam jeszcze chłopaka! One bujały w obłokach najpiękniejszych wiosennych uczuć, a u mnie nie działało się absolutnie nic! Jak okiem sięgnąć nie było konkurenta, który przejawiałby poważne zamiary. Z głupoli z mojej klasy żaden nie wchodził w rachubę.

- Musisz rozejrzeć się gdzieś indziej - zawyrokowała moja najlepsza przyjaciółka Lena i przekonała mnie, żebym robiła z nią patent żeglarski. Tato, który od lat był biernym członkiem klubu, uznał to za wspaniały pomysł, ponieważ wyrwałoby mnie to na świeże powietrze z mojej zadymionej kadzidełkami jaskini, jak nazywał mój pokój. Nie robiłam

sobie wielkich nadziei, że znajdę tam wymarzonego faceta, dlatego fakt, iż ten interesujący chłopak wpadł mi w oko już podczas zawijania do przystani i od tamtej pory zwyczajnie nie chciał mi wyjść z głowy, uznałam za wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności.

Oparłam rower o budynek klubu i mimo tej rozgrzewającej myśli wciąż jeszcze czułam w głębi duszy grobowy chłód.

- To efekt frustracji, że przy tak pięknej pogodzie musiałaś pracować w tak nieprzyjemnym miejscu - stwierdziła Lena, gdy opowiedziałam jej o dziwnym przeżyciu na cmentarzu.

- Fakt, trochę się wkurzyłam.

Aby mnie uspokoić powiedziała, że na jej cmentarzu, porośniętym gęstymi cisami, przez które nie docierał żaden promień słońca, również było dość chłodno. Tym samym znalazła zupełnie normalne wyjaśnienie dla mojego nagłego uczucia zimna. A myśl, że to dziwne uczucie mogłoby mieć coś wspólnego z wizerunkiem dziewczyny na tajemniczym kamieniu nagrobnym, natychmiast uznała za czysty wytwór fantazji.

- No naprawdę, ty i te twoje ezoteryczne ciągoty! Czy we wszystkim musisz dopatrywać się wątków mistycznych i nadprzyrodzonych?

Nie musiałam. Tylko co mogłam zrobić, skoro pod tym względem byłam w pewnym sensie obciążona genetycznie? Lenie zwyczajnie brakowało wrażliwości na tajemnicze fale po drugiej stronie szarej rzeczywistości. Była po prostu zbyt realistką. Wrzuciłam swoje rzeczy do przebieralni i włożyłam kamizelkę ratunkową. Większość uczestników kursu żeglarskiego zakładała już olinowanie na łodzie i szykowała się do opuszczenia ich na wodę. Razem z Leną

żeglowaliśmy na klubowej joli 420 o słodkiej nazwie „Dolle Minna”.

Lena, sapiąc, spychała właśnie łódź na wodę.

- Ej, poczekaj na mnie! - zawołałam z hangaru, gdzie stały żaglówki. - To za ciężkie, żebyś sama się z tym mocowała! Zaraz ci pomogę!

I nie patrząc pod nogi, rzuciłam się przed siebie. Jakiś osioł musiał zostawić przed wejściem połowę wyposażenia swojej łodzi, bo nagle stopa uwięzła mi w zwoju liny i runęłam na ziemię jak długa.

- Au! - wrzasnęłam, szorując dłońmi po żwirowej alejce. Zetknięcie się kolana z twardą nawierzchnią było nie mniej bolesne.

- O rany dziewczyno! - dobiegł mnie z tyłu ciepły głos. - Masz żeglować, a nie latać!

Silna, opalona ręka wyciągnęła się, żeby pomóc mi się pozbierać.

Należała do Nilsa, opiekuna młodzieży w klubie. Patrzył na mnie rozbawiony błękitnymi oczyma. Poczulałam, że się czerwienię. Mimo że był chłopakiem Leny, dla mnie nie była to sytuacja komfortowa.

Zanim jednak zdążyłam coś wyjąkać na temat „łapania zająca”, podciągnął mnie w górę i zaczął uwalniać moją stopę z płataniny lin.

- Co za idiota rozrzucił tu połowę takielunku? - klął przy tym.

- To ja jestem tym idiotą - odezwał się przystojny chłopak, na którego zwróciłam uwagę, gdy przybijał do przystani i który raz po raz pojawiał się w moich myślach podczas piekielnie nudnych prac projektowych na cmentarzu.

- Nawiasem mówiąc, wcale go nie rozrzuciłem, tylko odłożyłem na chwilę. - I z uszczypliwym uśmiechem dodał:  
- Skąd mogłem wiedzieć, że macie tu takiego pędziwiatra!

Posłałam mu druzgocące spojrzenie, wyszarpnęłam stopę z lin i wzięłam nogi za pas.

On miał chyba nie po kolei w głowie! Pędziwiatr! Niechby lepiej pilnował swoich zabawek!

- Gdzie ty się podziewasz? - ponagliła mnie zniecierpliwiona Lena. - Łap! - zawołała, rzucając mi linę. Wspólnie udało nam się zepchnąć łódź na wodę, weszliśmy na pokład i wciągnęliśmy fok. Powiał orzeźwiający wiosenny wiatr, a kiedy Nils wskoczył do naszej łodzi i krzyknął: "Wciągnąć grot na maszt, rzucić liny!", rejs mógł się rozpocząć.

Nils usiadł przy sterze, a ja przycupnęłam obok niego na relingu, trzymając szot grota, który służył do obsługi tego żagla. Lena uklękła w przedniej części łodzi z forszotem w dłoni i przejęła odpowiedzialność za mały fokżagiel.

- Dzisiaj poćwiczymy zwrot - powiedział Nils. - Wiatr jest w sam raz. Na co musimy zwrócić uwagę?

Rzuciłyśmy kilka fachowych zdań i Nils według naszych wskazówek odwrócił łódź pod wiatr.

- Uwaga! I... zwrot! - zawołał chwilę później. Zanurkowałam pod bomem bezana i przeciągnęłam szot na drugą stronę. Przez krótką chwilę żagiel zwisał bezwładnie z masztu, potem złapał wiatr wiejący z innej strony, napiął się mocno i łódź nabrała prędkości. Także Lena zmieniła stronę i przeciągnęła fokżagiel. Sunęliśmy po lśniącej tafli wody. Ogarnęło mnie cudowne uczucie nieważkości, wprawiając niemal w stan ekstazy. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund, ponieważ Nils wydał kolejną komendę, przywołując mnie do rzeczywistości.

Kiedy zakończyliśmy nasze szkolenie i nieśpiesznie żeglowaliśmy do przystani, nie zdołałam dłużej utrzymać ciekawości na wodzy.

- Co to za chłopak? - spytałam Nilsa. - Jaki chłopak?

- No, ten, o którego liny się potknęłam.

- Robert von Sunderburg. Wkupił się w łaski klubu dość wysoką darowizną. Ten wypasiony jacht naprzeciwno, to właśnie jego.

Poszłam za jego wzrokiem i zobaczyłam halsującą nowiutką, granatową łódź z czerwonym żaglem. Nie miał jej wtedy, gdy zawijał pierwszy raz do przystani, pomyślałam. Zapamiętałabym ją przecież.

- Co znaczy, że się wkupił? - spytała Lena.

- Hm, cóż, wiecie przecież, że jest długa lista oczekujących na przyjęcie do klubu żeglarskiego. Jego ojciec przekazał ogromną darowiznę na nową stanicę wodną i Robert został przyjęty. Bez czekania.

Widać było po nim, że absolutnie nie zgadzał się z takim faworyzowaniem.

- Powiedziałaś von Sunderburg? - upewniła się Lena. Zabrzmiało to tak, jakby to nazwisko coś jej mówiło.

- Tak. Jego rodzice mają dużą fabrykę przy Osttor. Na pewno już słyszałaś. Gdyby chcieli, mogliby wykupić cały klub. - Wciąż jeszcze brzmiało to tak, jakby Nils nie był zbyt przekonany do nowego członka.

- A dlaczego zapragnął nagle u nas żeglować? - spytałam.

- Oceniając profesjonalizm, z jakim halsuje, na pewno zbierał już doświadczenia gdzie indziej.

- Sama go spytaj. - Nils najwyraźniej nie miał ochoty dłużej rozmawiać o Robercie.

- Uwaga! Zwrot! - Schyliłyśmy się pośpiesznie, żeby nie zarobić bomem w głowę.

Kiedy wciągnęłyśmy łódź do hangaru i zdjęłyśmy z niej olinowanie, weszłam z Leną na herbatę do budynku klubu.

Henning, barman, uśmiechnął się na nasz widok - był jak zawsze w dobrym humorze - i namówił nas na gofry z gorącymi wiśniami i bitą śmietaną. Nie było to akurat



właściwe pożywienie dla mojej figury, ale od czasu do czasu pozwalałam sobie na drobne grzeszki. Poza tym dałam się przekonać przyjaciółkom, że istnieli też faceci, którym podobały się długie brąz włosy i troszkę pełniejsza zawartość bluzki. Musiałabym tylko spotkać jednego z nich!, pomyślałam.

- Hm, pycha! - wzdychałam akurat z rozkoszą, gdy do klubu wszedł Robert von Sunderburg i usiadł obok nas przy barze. Zamówił czekoladę z bitą śmietaną i spytał, czy gofry są smaczne.

- Są - wymamrotała Lena z pełnymi ustami. Nagle chyba rozpoznał we mnie ofiarę swojego bałaganiarstwa. W każdym razie uśmiechnął się i powiedział z lekką ironią w głosie:

- Pozwolicie, że się przedstawię? Robert von Sunderburg. Zazwyczaj nie przebywam w towarzystwie upadłych dziewcząt, ale dla dwóch tak pięknych dam mogę zrobić wyjątek.

Kompletnie osłupiała przełknęłam za duży kęs gofra i natychmiast zaniósłam się kaszlem, bo zabrakło mi powietrza. Co to za styl?, zdziwiłam się. Pozwolicie, że się przedstawię... upadłe dziewczęta... piękne damy! Wrrrr...

Lena też wpatrywała się w niego zbита z tropu.

- Ehe, jestem Lena... - odezwała się wreszcie dość przytomnie, a ponieważ dostrzegła, że aż poczerwieniałam od kaszlu, dodała szybko: - A to moja przyjaciółka Constanze, dla przyjaciół Conny.

Kawałek gofra wydostał się wreszcie z mojego przełyku i powędrował do żołądka. Odetchnęłam z ulgą i popiłam herbatą.

- Umiesz świetnie żeglować - stwierdziła tymczasem Lena. - Gdzie się tego nauczyłeś?

Ojej, cała ona, pomyślałam, przejawia zbyt dużą dozę bezpośredniości.

- Na Bałtyku - odparł Robert ochoczo. Najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, że dziewczyny nie tylko przed nim padały, ale i okazywały mu zainteresowanie. - Mieszkam w internacie nad Bałtykiem. Teraz jednak mam praktyki w firmie ojca. Mimo to nie chciałem zrezygnować ze swojego ulubionego sportu.

Na jego ustach znów pojawił się arogancki uśmieszek, nadając przystojnej twarzy nieco nieprzyjemny wyraz, gdy dorzucił:

- Chociaż ta sadzawka nie jest tak naprawdę moim królestwem!

Ten facet jest naprawdę zadufany w sobie, przeleciało mi przez głowę. Zastanawiałam się, czy mam ochotę na dalszą konwersację z kimś takim. Do przeprosin za porzucone liny, przez które starłam sobie dłonie i kolana, też najwyraźniej się nie poczuwał.

Zapałałam chęcią rewanżu. Nie mógł od tak sobie wpaść tu jako nowy członek klubu, zastawić na mnie niebezpieczną pułapkę i jeszcze klepać takie głupie frazesy.

Nie, pomyślałam, muszę porządnie zmyć mu głowę. Niestety, na razie brakowało mi natchnienia. Dlatego spytałam tylko bezbarwnie:

- Jesteś w jakiś sposób spokrewniony z Sunderburgami, właścicielami tej wielkiej fabryki maszyn?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, znów sprawiając wrażenie lekko wyniosłego.

- Jestem spadkobiercą!

- Ach - westchnęła Lena z udawanym zaskoczeniem. Mnie jednak w obliczu takiej bezczelności puściły hamulce i wypaliłam:

- Ach, kiedy zmarł twój ojciec? Nie widziałam nekrologu w gazetach.

Teraz on się zdumiał.

- Jak to umarł? Ojciec żyje i cieszy się jak najlepszym zdrowiem. Co miało znaczyć twoje głupie pytanie?

Ucieszyłam się w duchu, że wreszcie choć raz wpędziłam go w zakłopotanie, i powiedziałam uszczypliwie:

- A więc musisz wyrażać się trochę jaśniej. Zabrzmiało to tak, jakbyś właśnie odziedziczył firmę. Prawda, Lena?

- Tak, właśnie tak - pokiwała głową. - Ja też myślałam, że jesteś teraz właścicielem firmy. Tymczasem jesteś tylko... sędem czy jak to się fachowo mówi, kandydatem na spadkobiercę?

Zachichotała pysznie rozbawiona swoim żartem, co wyraźnie zdenerwowało kandydata na spadkobiercę.

- Jesteś jeszcze głupsza niż na blondynkę przystało - zwrócił się wyjątkowo nieszarmancko do Leny, odsunął w stronę Henninga pusty kubek, położył na barze euro i kilka centów i podniósł się ze stołka. Jego mina i ruchy zdradzały tłumioną agresję.

Co kazało mu tak nagle zapomnieć o dobrym wychowaniu? Chłopak wydał nam się całkowicie pozbawiony humoru i bezczelny.

Najwyraźniej Henning był tego samego zdania, ponieważ, nim Robert zdążył zamknąć drzwi, zawołał za nim:

- Nadajesz się do szorowania pokładu, chłopcze! U nas dam się nie obraża! Jeszcze raz powiesz coś podobnego, to mnie popamiętasz!

A kiedy drzwi się zatrzasnęły, odwrócił się do nas i dodał:

- Akurat brakowało nam tu takiego bogatego ważniaka!

- To dlaczego zarząd go przyjął? - spytała Lena. Henning, który też był w zarządzie, spuścił głowę w poczuciu winy

- Uchwała większości! Ja głosowałem przeciwko, ale większość pamiętała tylko o wielkiej darowiźnie na nową stanicę. Nikt nie pomyślał, że tacy ludzie mogą zepsuć klimat w naszym klubie.

Westchnęłam i wyrecytowałam kwestię Małgorzaty z Fausta, która akurat mi się przypomniała i pasowała do całej sytuacji:

- Tak... Ku złotu ciąży, Za złotem dąży Świat! Któż się nas uzali? (J.W. Goethe, Faust cz. I, przekład W. Kościelski)

Wychodząc z Leną z klubu, słyszałyśmy za sobą śmiech Henninga.

W drodze do domu poczułam jednak lekką złość, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. To naprawdę głupie, pomyślałam, teraz na pewno był śmiertelnie obrażony i w najbliższym czasie już mnie nie zagadnie. Merde! A przy tym był taki przystojny i mimo pewnej wyniosłości wydawał mi się naprawdę interesujący. Dużo bardziej w każdym razie od wszystkich kolegów z klasy, z tym kujonem Yannikiem włącznie.

## Rozdział 2

### W biotopie straszy

- I co? - spytała następnego dnia nasza biologica, pani Wiese. - Co przynieśliście z pierwszego rekonesansu cmentarzy?

- Wampiry, słodkie, małe wampiry! - wypalił Stephan. Yannik podniósł palce w górę i wyjął z teczki kilka liści bluszczu.

Pani Wiese wydała się tym zachwycona.

- Pięknie, Yannik - pochwaliła go. - Mógłbyś nam również powiedzieć, dlaczego przyniosłeś te liście? - Oczywiście mógł.

- Zwróciłem uwagę na to, że bluszcz na moim cmentarzu projektowym jest różnie ubarwiony i w zależności od tego, gdzie rośnie, jego liście mają inne kształty. Chciałbym teraz zbadać, czy ma to jakiś związek z miejscem występowania.

- Dobry pomysł. - Biologica nie szczędziła mu pochwał. - Czy ktoś zaobserwował już jakieś zwierzęta na swoim cmentarzu? - spytała ponownie całą klasę.

I znów Stephan dorzucił:

- Jakieś wampiry, duchy, a może demony? Te gatunki preferują grobowce, krypty i zaduch cmentarny!

Mimo że nagle przypomniałam sobie niesamowite przeżycie przy tajemniczym nagrobku, twarz wyrytą w kamieniu i inskrypcję, postukałam się w czoło i szepnęłam do Leny:

- Jemu naprawdę odbiło!

Pani Wiese zignorowała Stephana i wyjęła z teczki stosik kserokopii.

- Przygotowałam dla was kilka tabel wzorcowych, do których będziecie mogli wpisywać rośliny i zwierzęta z odwiedzanych cmentarzy. Przy następnej wizycie wypełnijcie

je sumiennie. Później wykonacie mapowanie biotopu waszego cmentarza. Przy ocenie projektu będę kładła na to duży nacisk.

- Co to jest ma... ehe... to coś biotopu? - spytała Lena.

- Mapowanie biotopu?

- Tak, właśnie.

- Czy ktoś potrafi to wyjaśnić? - spytała pani Wiese.

Znow zgłosił się Yannik.

- To oznacza, że mamy narysować mapę naszego cmentarza, na której naniesiemy wszystkie gatunki roślin i zwierząt według częstotliwości ich występowania. ..

- A więc, ile wampirów tam mieszka - wszedł mu w słowo Stephan.

Biologica powoli zaczynała mieć już dość tej gatki o wampirach.

- Powtarzasz się, Stephan! Jeżeli podczas twoich badań rzeczywiście natkniesz się na wampira, to bardzo cię proszę, złap go i przyprowadź do szkoły jako egzemplarz pokazowy. Ale dopóki to się nie stanie, nie chcę słyszeć już ani słowa na ten temat.

Po klasie przeszedł gremialny chichot, zabarwiony lekką nutą zazdrości o tak elegancko opakowaną naganę.

- Nie zapomnijcie zebrać też trochę informacji na temat historii waszego cmentarza. Na przykład u jego zarządcy - zaleciła jeszcze pani Wiese i dzwonek zakończył lekcję.

- Może poszlibyśmy od razu, dziś po południu? - spytał Yannik, gdy wychodziłam na przerwę.

Pokręciłam głową.

- Nie piszę się! Może wytrzymałabym z godzinę na cmentarzu, ale przy tej pogodzie nie zniósłabym przesiadywania w administracji!

Yannik musiał być lekko rozczarowany, ponieważ uwielbiał być wszędzie pierwszy. Nie dał jednak niczego po sobie poznać.

- W porządku, w takim razie spotykamy się o trzeciej na cmentarzu. Na pewno lepiej umówić się najpierw z zarządcą na spotkanie. Mam zadzwonić, czy ty chcesz to zrobić?

Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej pasjonującego, dlatego powiedziałam szybko:

- Nie, nie, ty to załatw. Najlepiej zaraz po szkole albo przed południem na godzinach projektu, żeby nie trzeba było tracić całego popołudnia. - I wyjaśniającym tonem dodałam: - Wiesz, że robię kurs żeglarski, muszę codziennie trenować.

Yannik uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Nie ma problemu.

Kiedy o trzeciej weszłam na cmentarz, świeciło słońce, niebo było błękitne, a biotop wręcz pękał w szwach. Kiełkował, rósł, kwitł, odnosiłam wrażenie, że to rozbuchanie przyrody można mierzyć centymetrem. Kiedy jednak Yannik z całą powagą był gotów to zrobić, prawie się załamalam i odmówiłam jakiegokolwiek formy współpracy.

- Z gorączką badawczą też można przesadzić - powiedziałam ze złością i na znak strajku usiadłam na ławce, podtrzymywanej przez dwa anioły z piaskowca.

Na Yanniku nie zrobiło to wrażenia. Podsunął mi pod nos tabelę pani Wiese i powiedział:

- Mamy policzyć rośliny i zwierzęta i wpisać je tutaj.

- OK - powiedziałam, wyciągnęłam nogi i oparłam się o jednego z aniołów. - Zaczniemy więc od drzew. Szacuję... piętnaście dębów i dwadzieścia kasztanowców.

- Szacujesz? Mamy je przecież policzyć.

- Myślisz, że ktoś to sprawdzi? - spytałam.

- Ale to szachrajstwo - zaproponował.

- No i co? Skoro i tak nikt nie zauważy? Szybciej skończymy i będziemy mogli zrobić coś sensownego z tak dobrze rozpoczętym dniem.

Mówiąc te słowa, pomyślałam naturalnie o klubie żeglarskim i mimo wszystko intrygującym Robercie von Sunderburgu.

Yannik poddał się i sam wyruszył na liczenie drzew.

- Mogłabyś w tym czasie zatroszczyć się o dzikie króliczki - mruknął.

Króliczki - to brzmiało nieźle. Króliczki były naprawdę przesłodka. A liczenie ich oderwie mnie na pewno od tego niepokojącego uczucia, jakie znów ogarnęło mnie na widok tyłu grobów.

- To gdzie są te futrzaki? - spytałam.

Yannik wskazał na niemal kompletnie zarośniętą dróżkę.

- Pójdziesz tędy prosto i dojdiesz do kwatery starych grobów, wczoraj widziałem tam mnóstwo królików.

Spojrzałam na szpaler ponurych cisów rosnących wzdłuż drogi i przypomniałam sobie dziwne przeżycie z poprzedniego dnia. Pomysł samotnego liczenia królików w leżącej na uboczu części cmentarza nagle wydał mi się niezbyt szczęśliwy.

Yannik patrzył na mnie przez chwilę w zamyśleniu i jakby wyczuwając moją niepewność, powiedział:

- Myślę, że pójde z tobą i tam zacznę liczenie drzew. We dwoje będzie nam na pewno przyjemniej.

- A nie wolałbyś usiąść w słońcu obok mnie i policzyć obłoczki? - próbowałam poskromić jego biologiczno - dynamiczne zapędy. Jednak zupełnie bezskutecznie. Kujon, pomyślałam, człapiąc niechętnie za nim.

Jeśli w ogóle cokolwiek interesowało mnie na tym cmentarzu, to grób nieznanym, pięknej dziewczyny Kim mógł być ten Wilhelm, który nazwał ją swoją jedyną miłością!

Postanowiłam szybko rozprawić się z króliczkami i jeszcze raz odszukać tajemniczy grób. Mimo niesamowitego niepokoju, jaki przy nim odczuwałam, dziwnie mnie



fascynował. Miałam wrażenie, że ten porośnięty bluszczem głąz chciał opowiedzieć mi swoją historię, która, o tym byłam przekonana, była romantyczna, a może nawet tragiczna. W każdym razie na pewno opowiadała o wielkiej miłości, a tego zawsze chętnie słuchałam.

Kiedy doszliśmy z Yannikiem do wspomnianej kwatery, roślinność między starymi nagrobkami była dość przetrzebiona. Króliki pozjadały praktycznie wszystko, nie cofnęły się nawet przed podkopywaniem grobów.

- Zima była długa - wyjaśnił Yannik. - Spójrz, tam szukały korzonków, jadalnych cebulek i bulw.

Pycha, przemknęło mi przez głowę. Co sobie myślał ktoś leżący w tym grobie, kiedy tak nad nim urzędowały?

- Uaa! - wykrzyknęłam nagle stłumionym głosem. - A to co takiego?

Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się z przerażeniem w zabrudzoną, długą chustę, która kiedyś musiała być biała. Jej drugi koniec tkwił gdzieś w czeluściach króliczej jamy Cholernie przypominała płachtę, w jakie były pozawijane w muzeach wyschnięte na wiór mumie egipskie.

- Wygląda jak całun... - spekulował Yannik.

- O nie! - jęknęłam i poczułam mdłości.

- Ależ ty jesteś delikatna - skwitował chwilę później, wachlując mnie plikiem kartek z tabelkami.

Siedziałam na przewróconym nagrobku w morzu niebieskich kwiatuszków i gorączkowo tłumiałam chwytające mnie raz po raz torsje. Wywoływała je po części myśl, że króliczki długimi, pożółkłymi siekaczami otwierały pod ziemią zbutwiałe trumny, szamotały się z całunami i grały w kręgle czaszkami i kośćmi. Na pewno nie było to coś, co wyobrażałam sobie pod pojęciem świętego spoczynku. Przy całej sympatii do spontanicznej, dziewiczej i pełnej życia

fauny niszowej - króliki mogły się zachowywać z nieco większym pietyzmem.

Yannik wzruszył ramionami.

- Administracja cementarza robi, co w jej mocy Ponieważ ciągle dostaje skargi od tak wrażliwych ludzi jak ty, do nor króliczych dwa razy do roku wpuszczany jest gaz.

- Co proszę? - myślałam, że się przesłyszałam. - Chcesz powiedzieć, że króliki są wybijane?

Mimo że nie podobały mi się ich podziemne, bezczeszczące zwłoki działania, to jednak wytruwanie je gazem uznałam za grubą przesadę.

- Czasami sprowadzają tu myśliwego fretkowego!

- Kogo?

- Myśliwego z tresowanymi fretkami. Dostają się do nor i rozprawiają z dorosłymi królikami, a przede wszystkim z ich potomstwem.

- Powachluj mnie trochę mocniej - wykrztusiłam, ponieważ znów zaczęło mi brakować powietrza.

Kto w tym dostojnym i spokojnym miejscu mógł się spodziewać tak wyszukanych sposobów zabijania?!

- Jestem zielona? - spytałam, ponieważ czułam się, jakbym wypić pół butelki ekologicznego płynu do czyszczenia.

Yannik zachichotał.

- Nie ma się z czego śmiać! - objechałam go. - Od razu wiedziałam, że ten cały projekt jest do bani!

Po tym wyznaniu Yannik najwyraźniej doszedł do wniosku, że dziś nie ma już co liczyć na moją aktywną współpracę.

- Odpocznij sobie, dopóki nie poczujesz się lepiej. A ja zacznę liczyć drzewa. - I gorliwie zabrał się do pracy

- Nie zapomnij tylko wrócić tu po mnie! - zawołałam za nim.

Odwrócił się jeszcze raz, roześmiał i krzyknął:

- Pod warunkiem, że mnie o to bardzo poprosisz! I zniknął za rozłożystym rododendronem.

Posiedziałam jeszcze parę minut na nagrobku, potem jednak doszłam do wniosku, że niezbyt nadaje się na fotel, i wstałam. Mimowolnie przebiegłam wzrokiem stare płyty nagrobne. Były pełne artyzmu i starannie wykonane. Kunsztownie wyrzeźbione figury aniołów z marmuru i piaskowca, przewyższające wzrost człowieka krzyże i grobowce z bogato zdobionymi wieżyczkami i portalami, zamykane wykutymi z żelaza drzwiami.

Powoli weszłam między rzędy grobów, i wcale tego nie chcąc, skierowałam swoje kroki do miejsca, w którym dzień wcześniej odkryłam kamień nagrobny nieznanej dziewczyny. Mijając groby, zaczęłam czytać wykute na nich inskrypcje.

Prawie wszystkie pomniki pochodziły z XVIII i XIX wieku, a pochowani tu zmarli należeli wyłącznie do starej arystokracji i nosili znane nazwiska. Byli tu urzędnicy nadworni, poeci, pisarze, badacze i inne osobistości miasta, o których już słyszałam. Albo dlatego, że ich nazwiskami nazwane były ulice, albo mówiliśmy o nich w szkole. Grobowce były wypiełgowane, ale i tutaj wszystkim zawładnął kwitnący na niebiesko barwinek, tak że ledwie można było rozpoznać kontury poszczególnych grobów, a ich płyty wydawały się wręcz tonąć pod niebieskim kobiercem.

Jak okiem sięgnąć nie było żywego ducha. Na tyłach cmentarza hasało beztrosko kilka królików, jakby specjalnie stawiały się na spis populacji.

Tak naprawdę jednak nie zwracałam na nie uwagi, ponieważ doszłam już do odizolowanej rozłożystymi cisami od reszty cmentarza kwatery z tajemniczym grobem. Kim był ten Wilhelm, który swojej ukochanej postawił tak skromny, ale przepiękny pomnik? I kim była ta biała, chłodna jak

marmur piękność, o której zawsze miał przypominać potomności głąz?

Droga prowadziła mnie wśród gęstych rododendronów, gdy nagle znalazłam się przed mocno zniszczonymi krzyżami z piaskowca. Miały po prawie dwa metry wysokości i robiły wrażenie zarówno swoimi rozmiarami, jak i liczbą. Czy był to może cmentarz żołnierski? Zaciekawiona podeszłam bliżej, aby rzucić okiem na inskrypcje.

Zatkało mnie. To niemożliwe, pomyślałam. I z najwyższym zdumieniem odczytałam nazwisko na pierwszym z krzyży: Henriette von Sunderburg, z domu Freun von Avensleben, i Friedrich Wilhelm von Sunderburg. Von Sunderburg! Ogarnięta wewnętrznym niepokojem szłam od krzyża do krzyża i czytałam napisy. Von Sunderburg, tutaj też! Najwyraźniej stałam przed kwaterą rodzinną mojego nowego znajomego z klubu. Kilka krzyży pochodziło z przedostatniego stulecia, inne upamiętniały członków rodziny, którzy padli ofiarą wojny.

I nagle mój wzrok przykuł jeden z nagrobków, a szczególnie imię i daty życia.

Wilhelm von Sundenburg

urodzony 23.5.1922 - zmarły 23.5.1946

Nieźle, pomyślałam. Umarł dokładnie w dniu swoich urodzin, w dodatku tak młodo! Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. Jakie to smutne. Całkowicie pogrążona w myślach przyglądałam się kunsztownie wykutemu krzyżowi z piaskowca.

Jaki stopień pokrewieństwa mógł łączyć go z Robertem? I dlaczego odszedł tak wcześnie? Spytam Roberta, pomyślałam. Jeszcze dziś, w klubie. Może to właśnie była szansa, żeby zbliżyć się do niego po tym wczorajszym, pechowym wystąpieniu.

Chciałam właśnie przejść do grobu nieznannej dziewczyny, kiedy pojawił się Yannik.

- I jak? - zainteresowałam się jego akcją liczenia.

- Ile mamy tu drzew?

- Piętnaście dębów i dwadzieścia kasztanowców.

Roześmiałam się.

- A nie mówiłam?

- Jesteś chyba jasnowidzem - stwierdził Yannik, ale w jego głosie nie było rozbawienia. Najwyraźniej wciąż jeszcze miał zły humor.

Kiedy go o to zagadnęłam, powiedział tylko:

- Przykro mi, ale naprawdę mnie wkurza, że wykazujesz tak mało zainteresowania naszym zadaniem z biologii.

- No przecież wykazuję - spróbowałam nastroić go trochę pozytywniej. A ponieważ przypomniałam sobie, że szczególnie pasjonował go bluszcz, dodałam szybko:

- Odkryłam kamień nagrobny całkowicie zarośnięty bluszczem. Powinieneś go zobaczyć. Ogromne liście, mówię ci, i bardzo różne kształty

Natychmiast wzbudziłam jego zainteresowanie.

- OK, pokaż mi go. Może to gatunek, którego jeszcze nie mam.

Poprowadziłam go więc do grobu nieznannej dziewczyny. Szliśmy pochyleni pod zwisającymi gałęziami cisów, a kiedy się wyprostowaliśmy, staliśmy na wprost kamienia. Portret nagrobny w obramowaniu z soczyście zielonego bluszczu lśnił bielą i niewinnością.

Przeszły mnie ciarki. Znowu ogarnął mnie ten paraliżujący chłód i tym razem byłam na sto procent pewna, że nie miał nic wspólnego z zacienionym miejscem. Nie pochodził z zewnątrz, tylko tak samo jak wczoraj rozpanoszył się w moim sercu i stamtąd przeżerał przez całe ciało aż do czubków palców i nasady włosów. I nie mogąc oderwać wzroku od

podobizny tej przepięknej dziewczyny, wydawało mi się, że powoli zamieniam się w sopel lodu.

Dlatego ledwie usłyszałam okrzyk radości Yannika, jaki wydał na widok bluszczu, i na marginesie zarejestrowałam to, że natychmiast rzucił się do zrywania liści.

- Cudowny! - wykrzykiwał. - Fenomenalny! Tyle kolorów i kształtów, i przypuszczalnie wszystkie wywodzą się od jednej rośliny. Nie do wiary! Muszę natychmiast sprawdzić, gdzie zaczyna się kłącze.

Zniknął za wielkim głazem.

Wciąż jeszcze stałam jak skamieniała i nie potrafiłam sobie wyjaśnić, skąd brał się we mnie ten chłód. Zastanawiałam się, czy Yannik niczego nie czuł. Był przecież zaledwie kilka metrów ode mnie i musiał go poczuć.

- Chodź tutaj, Conny! - usłyszałam zza głazu. Kiedy jednak chciałam do niego podejść, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ogarnęło mnie niekontrolowane drżenie.

- Ej, Conny? Gdzie jesteś? Odpowiedz! - Głowa Yannika wyłoniła się zza kamienia na wysokości portretu.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

Yannik wykrzyknął nagle spanikowany:

- Conny! Co ci jest?

Wyskoczył zza nagrobka. Znalazł się przy mnie dosłownie w ostatniej chwili. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma i z cichym, nieartykułowanym okrzykiem osunęłam się w jego ramiona.

### Rozdział 3

#### Niepokojące wydarzenia

Kiedy doszłam do siebie, leżałam na skąpanej w słońcu trawie między krzyżami nagrobnymi rodziny von Sunderburg, a Yannik z zatroskaną miną rozcierał mi dłonie. Wciąż jeszcze były lodowate.

- Ale mi napędziłaś strachu! - powiedział z westchnieniem ulgi. - Zwyczajnie zemdląłeś! Często ci się to zdarza?

Pokręciłam głową i z wdzięcznością zauważyłam, że dzięki jego staraniom krew powoli zaczynała wracać do moich dłoni.

- Masz taki słaby układ krążenia? Powinnaś z tym pójść do lekarza. - Z jego tonu przebijała prawdziwa troska. Takim go jeszcze nie znałam. Trzymał moje dłonie mocno zamknięte w swoich i przyglądał mi się badawczo. - Mój Boże, ale jesteś blada! Prawie jak ten marmurowy portret na obrośniętym bluszczem głazie.

Marmurowy portret. Już na samo jego wspomnienie ogarnęła mnie nowa fala niepokoju i zaczęłam się zastanawiać, co może mnie z nim łączyć. Dlaczego za każdym razem, gdy na niego patrzyłam, rozchodziło się we mnie to dziwne zimno. Czy Yannik naprawdę nic nie czuł?

- To zimno, Yannik, to zimno. Ty też je czułeś?

W tej samej chwili jednak, w której wypowiadałam pytanie, już znałam na nie odpowiedź.

- Zimno? Ja? - roześmiał się. - Conny, jest cudownie ciepły dzień. Nawet w cieniu jest przyjemnie. To, że marzniesz, jest spowodowane wyłącznie słabym krążeniem. Ale zaczynasz chyba czuć się lepiej. W każdym razie twoja twarz nabiera wreszcie kolorów.

Usiadłam powoli. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Nagle między mną a Yannikiem było zbyt dużo bliskości.

On też chyba to zauważył. Pomógł mi stanąć na nogi.

- Koniec na dzisiaj? Co byś powiedziała na kawę? Pobudza krążenie.

Otrzepałam resztki trawy ze spodni i spróbowałam się uśmiechnąć, co wyszło trochę krzywo.

- A co z twoim bluszczem?

- Poczekaj. Mam już zresztą kilka liści. Wieczorem porównam je z przykładami w książkach.

No to fajnie, pomyślałam. To zabrzmiało przynajmniej znów całkiem normalnie. Rzeczywiście poczułam, że stopniowo wraca we mnie ciepło i życie.

Kiedy jednak zostawiliśmy za sobą groby i przekroczyliśmy bramę z kutego żelaza, w dalszym ciągu zastanawiałam się, jaka niesamowita siła ponownie chwyciła mnie za serce. Czy nieznajoma zmarła była czarownicą lub wiedźmą, która nawet po śmierci potrafiła zauroczyć żywych?

A może miałam jakieś ukryte zdolności nadprzyrodzone? Jak inaczej wyjaśnić to, że tylko ja odczuwałam te wszystkie zmiany wokół siebie, których na przykład Yannik wcale nie dostrzegł?

- Myślisz, że istnieją ludzie, którzy potrafią przywoływać zmarłych? Nieświadomie? Wcale tego nie chcąc? - spytałam, wypowiadając na głos swoje myśli.

Yannik pokręcił głową.

- Właściwie jesteś całkiem miła - powiedział - ale masz zbyt bujną fantazję! Przywoływanie zmarłych! Po co to komu?

Ponieważ też tego nie wiedziałam, zamknęłam temat i postanowiłam przy okazji poprosić lekarza o zbadanie serca. Kiedy później siedziałam z Yannikiem w ulicznej kawiarence



i popijałam z rozkoszą kawę z mlekiem, to zarówno fizycznie, jak i duchowo czułam się znacznie lepiej. Dlatego doszłam do przekonania, że na wszystko można znaleźć naturalne wyjaśnienie.

Ponieważ zrobiło się już za późno, żeby zdążyć na trening do klubu jachtowego, próbowałam złapać Lenę na komórkę.

- Tak? Gdzie ty się podziewasz? - spytała dość wkurzona.  
- Mam może sama spychać łódź na wodę?

Ponieważ nie chciałam w obecności Yannika tłumaczyć się zbyt gęsto, poinformowałam ją zwięźle, że niestety nie będę mogła przyjść.

- Na cmentarzu zeszło nam trochę dłużej, niż planowaliśmy, wolałabym pojechać teraz do domu. Trening byłby dla mnie zbyt stresujący. Zadzwoń do ciebie wieczorem i wszystko ci wyjaśnię. - I przeproszającym tonem dodałam: - Dasz sobie raz radę beze mnie?

- Hm. - Lena potrzebowała dłuższej chwili, żeby przetrwać to, co właśnie usłyszała, i wyraźnie powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć złością. - Tak, tak - wydusiła wreszcie. - Nie martw się o mnie, poćwiczę z Nilsem sama. Nie ma problemu!

Trudno mi było wyobrazić sobie jakiegokolwiek problemy u tej gruchającej parki!

Dopiłam kawę i zgodziłam się, choć niezbyt niechętnie, aby Yannik odprowadził mnie do domu.

- Nie mogę pozwolić ci jechać samej na rowerze w takim stanie - stwierdził troskliwie.

Mimo że był to całkiem miły gest z jego strony, uznałam, że nie musiał od razu aż tak przesadzać. Ostatecznie czułam się już całkiem nieźle i nie trzeba było traktować mnie, jakbym była o krok od śmierci.

Dlatego pożegnanie wypadło odpowiednio powściągliwie i kiedy Yannik wskoczył na rower pod naszym domem, życząc mi szybkiego powrotu do zdrowia, i odjechał, poczułam ulgę, że się go wreszcie pozbyłam.

O rany, pomyślałam lekko podenerwowana, za bardzo wczułam się w rolę litościwego samarytanina.

Otworzyłam drzwi i wspięłam się na schody prowadzące do naszego mieszkania.

Głośno ujadając i merdając ogonem, wybiegł mi naprzeciw nasz pies Szampon. Poza tym panowała grobowa cisza.

Jasne, ojciec, weterynarz, pracował jeszcze w przychodni na tyłach domu, a mama prowadziła kurs na temat ezoterycznych technik relaksacji na uniwersytecie ludowym.

Jedna z koleżanek klasowych Patricia, chcąc zrobić mi na złość, nazywała mamę Strasznią Damą. Nie miała jednak pojęcia, jak kochana i mądra była moja mama. I nie było w niej nic strasznego tylko dlatego, że zajmowała się medycyną alternatywną i ezoteryką. Mnie też fascynowało to, jakie tajemnicze i magiczne siły przyrody wykorzystywały jeszcze dziś niektóre ludy pierwotne, i tak samo jak mama uważałam, że my też dysponowaliśmy jakimiś ukrytymi zdolnościami. Cywilizacja tylko je przytłumiła, ale jeśli ktoś chciał, to mógł odkryć je w sobie na nowo.

Kiedyś rozmawiałam o tym ze swoją przyjaciółką Leną, ona też mnie uznała za totalnie stukniętą. Była po prostu bezwzględnie realistyczna i ani trochę nie wierzyła w siłę magii.

A powstało przecież mnóstwo książek, w których naoczni świadkowie opisywali tajemnicze historie, w telewizji ten temat też często się pojawiał. Ja w każdym razie nie opuściłam żadnego odcinka programu o zjawiskach paranormalnych, gdzie pokazywano prawdziwe zdarzenia nadprzyrodzone.

Myśl, że zmarli jeszcze z zaświatów otaczali opieką swoich najbliższych i ostrzegali ich przed nieszczęściami i niebezpieczeństwami, była dla mnie nie tyle fascynująca, ile pocieszająca, wyobrażałam sobie bowiem, że babcia tak właśnie postępuje wobec mnie.

Westchnęłam głęboko i usiadłam w swoim pokoju na podłodze między indyjskimi poduchami. Następnie zapaliłam kilka kadzidełek o zapachu wanilii i przymknęłam oczy.

Zazwyczaj po powrocie do domu najpierw wychodzę na spacer z psem. Dzisiaj jednak, kiedy Szampon przybiegł ze smyczą w zębach, odmownie pokręciłam głową.

- Nie, mój słodki, nie teraz. Muszę się najpierw trochę zrelaksować. Może później.

Usiadł wyczekująco pod drzwiami, ale widać trwało to dla niego zbyt długo, bo pochylał się coraz niżej, aż wreszcie zaległ na podłodze z przednimi łapami wyciągniętymi prosto przed siebie i rozczochranym łebkiem ułożonym na nich.

Teraz było mi trochę przykro, jednak czułam się kompletnie pozbawiona energii, a w każdym razie nienastrojona do spaceru. Może rzeczywiście coś było nie w porządku z moim krążeniem. Wzięłam szklankę wody, czasopismo muzyczne i lekko sfrustrowana usadowiłam się przed telewizorem. Aby zająć głowę czymś innym, włączyłam stację muzyczną i czekałam na powrót mamy do domu.

Out of the dark... into the light...

O nie!

Przestraszona wpatrywałam się w ponury klip wideo. Piosenka natychmiast przypomniła mi o dziwnym przeżyciu na cmentarzu. I znów nasunęła mi się myśl, że przy kamieniu nagrobnym nieznanym dziewczyny prawdopodobnie nastąpiło jakieś połączenie między mną a światem zmarłych.

Po tym drugim, niewyjaśnionym przeżyciu odniosłam niepokojące wrażenie, że grób spowijała mroczna tajemnica.

Na samą myśl, że byłam najwyraźniej jedyną osobą, która to odczuwała, przeszły mnie ciarki. Czy byłam może szczególnie wrażliwa na siły nadprzyrodzone? Przełączyłam na inny program.

Kiedy mama wróciła do domu, wyglądała na zmęczoną, ale kupiła na kolacje trochę smakołyków i była wdzięczna, że pomogłam jej w kuchni. Ułożyłyśmy starannie na talerzu plasterki wędliny, liście sałaty i różne antipasti.

- Ale się cieszę na przyjemną, wspólną kolację - westchnęła. Wytarła pomidorki koktajlowe i włożyła je do hiszpańskiej misy ceramicznej. - A co u ciebie? Jesteś trochę blada.

Tym samym podsunęła mi odpowiednie hasło.

- Powiedz, czy w naszej rodzinie występują choroby układu krążenia?

Mama otarła ręce w fartuszek i przez chwilę wpatrywała się we mnie przenikliwie.

- Choroby układu krążenia? Miałaś jakieś problemy?

- Cóż, ehe, tak... to znaczy... - wyjąkałam trochę bez ładu, później jednak opisałam mamie z grubsza zajście na cmentarzu. - Nagle zrobiło mi się bardzo zimno, tak od środka. Jakby serce mi stanęło... a potem pociemniało mi przed oczyma...

- Nie gadaj głupot, dziecko! - Mama popatrzyła na mnie przerażona, widząc jednak ogarniającą mnie panikę, spróbowała zbagatelizować całą sprawę. - Na pewno nie jest tak źle. To się zdarza w okresie dojrzewania. Dostałaś może okres? Pokręciłam głową.

- Hm, to byłoby jakieś wyjaśnienie - zastanawiała się na głos. - Wszystko jedno. Nie ma sensu zgadywać. W każdym razie trzeba to wyjaśnić u lekarza. Zaraz sprawdzę, czy uda nam się zamówić wizytę w najbliższych dniach. - I zatroskana pośpieszyła do telefonu.

Najwyraźniej się udało, ponieważ kilka minut później wróciła do kuchni znacznie spokojniejsza.

- W poniedziałek o wpół do ósmej. U doktora Jurgensa.

- Ojej, to jeszcze przed wstaniem z łóżka! - jęknęłam. - To przecież całkiem praktyczne - uznała mama.

- Pojedziemy razem i jeśli wszystko będzie w porządku, podrzucę cię później do szkoły. Na pewno zrobi ci tylko EKG i zmierzy ciśnienie.

No fajnie, pomyślałam. Przynajmniej dowiem się, czy istnieje jakaś przyczyna medyczna mojego zemdlenia. A jeżeli nie...?

Odsunęłam od siebie tę niepokojącą myśl.

Kiedy później jedliśmy razem z tatą kolację, musiałam zadać jeszcze jedno pytanie.

- Czy naszej rodzinie przytrafiały się już... ehe... jakieś dziwne wydarzenia?

- Dziwne wydarzenia? - Tato podniósł zdziwiony wzrok znad talerza. - Co masz na myśli? Mama też patrzyła pytająco.

- To znaczy... - wykrztusiłam - ... czy kiedyś nastąpiło coś, na co nie był© naturalnego wytłumaczenia? To znaczy, czy w naszej rodzinie występowały już zjawiska nadprzyrodzone?

Wreszcie wydusiłam to z siebie. Rodzice wyglądali na lekko zaskoczonych. Jakbym im właśnie oświadczyła, że właściwie nie jestem ich dzieckiem, tylko wywodzę się z rodziny czarnoksiężników. I właśnie w tym tonie odezwał się tato:

- A co, przyleciała sowa z zaproszeniem z Hogwartu? Mama zachichotała.

O nie!, pomyślałam zakłopotana. Czy nie można by choć raz porozmawiać poważnie o tych sprawach? Akurat z ich strony oczekiwałam trochę większego zrozumienia. Mimo to spróbowałam jeszcze raz.

- Nie mam na myśli dziecinady, tylko prawdziwe zjawiska nadprzyrodzone. Jasnowidztwo, kontakt ze zmarłymi... Było już coś takiego?

Mama wciąż jeszcze się uśmiechała i pokręciła głową.

- Znow chcesz założyć klub czarownic jak w czwartej klasie? - spytała. - A może teraz będzie to kółko spirytystyczne z zaklinaniem duchów włącznie?

- Lepiej trzymaj się od tego z daleka. - Taty kompletnie nie bawiła ta wizja.

- Wydaje mi się jednak, że dziadek potrafił odnajdywać zaginione przedmioty, a nawet ludzi, którzy zabłądzili podczas odpływu morza - drążyłam nadal, nie zwracając uwagi na troskę rodziców.

Mama znow się zaśmiała, ale tym razem z lekką przesadą.

- Zgadza się, we wschodniej Fryzji każdy gospodarz ma gorącą linię z zaświatami. - I z przebiegłą miną zwróciła się bezpośrednio do taty: - Jak to było z jasnowidztwem dziadka Constanze? Może byś opowiedział?

Tato tylko machnął ręką.

- Niewiele jest do opowiadania. Ojciec zabrał do grobu swoje zdolności przewidywania przyszłości. Od tamtej pory jesteśmy zupełnie zwyczajną rodziną. Nie ma już jasnowidztwa, wróżbiarstwa czy kontaktów z duchami. Wszelkie zapędy w tym kierunku pastor stłumił w nas jeszcze przed konfirmacją. Jak w ogóle na to wpadłaś, córeczko?

Zastanowiłam się, czy powinnam zwierzyć się rodzicom z dziwnych doznań, których doświadczyłam przy grobie nieznanym dziewczyny.

- A o co dokładnie chodziło z tymi kontaktami z duchami? - spytałam.

Widząc jednak wielce rozbawione spojrzenia rodziców, od razu pożałowałam swojego pytania. Najwyraźniej brakowało im, przynajmniej w tym momencie i w tej sprawie, koniecznej

powagi. Zbędne więc było dopytywanie się, czy zdolności nadprzyrodzone są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

To głupio, pomyślałam, po co ma się rodziców, skoro zachowują się jak dzieci? Szczególnie po tak obeznanej z ezoteryką mamie obiecywałam sobie troszkę więcej.

Postanowiłam, że następnego dnia udam się do biblioteki i wypożyczę jakąś książkę o zjawiskach paranormalnych. Na pewno coś takiego mieli. Niezadowolona z przebiegu rozmowy opróżniłam szklankę i poszłam do swojego pokoju.

Przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do Leny. To, co usłyszałam właśnie o dziadku, wprawiło mnie w zamyślenie. A jeżeli wcale nie zabrał swoich zdolności do kontaktów z duchami na zawsze do grobu? Jeżeli odżyły nagle we mnie, jego wnuczce? Czy coś takiego można było odziedziczyć? Koniecznie musiałam usłyszeć zdanie przyjaciółki na ten temat.

Zanim jednak zdołałam dojść do słowa, musiałam najpierw wysłuchać jej nowości. Tak naprawdę nie umiałam się dziś skoncentrować na tym, co nawijała. Oczywiście spostrzegła to od razu i powiedziała obrażona:

- Nie muszę ci wcale tego opowiadać, skoro cię to nudzi.

O rany, czy zawsze musiała tak gwałtownie reagować?

Spróbowałam nastroić ją nieco łagodniej.

- Nie, nie, interesuje mnie to, nawet bardzo. Wiesz przecież, jak bardzo zależy mi na twoim szczęściu...

Jednak dzisiaj nie dało się z nią pogadać. Czy to jej, czy moja wina? Nie miałam pojęcia.

Ulżyło mi, kiedy wreszcie dała mi dojść do słowa. Słuchała mnie trochę z niechęcią i jednym uchem. A gdy spytałam, czy byłaby w stanie sobie wyobrazić, że ktoś potrafi nawiązać kontakt ze zmarłym, dostała nagle ataku śmiechu.

Rozeźlona chciałam właśnie zakończyć rozmowę, kiedy powiedziała przepaszająco:

- Pardon, nie zamierzam cię obrazić, ale znów zaliczasz swój paranormalny odlot.

Zamienienie z nią jeszcze choćby jednego słowa na temat cmentarza i tajemniczego grobu było całkowicie zbyteczne. Zakończyłam więc rozmowę chłodnym, pożegnalnym banałem.

Szczerze powiedziawszy, nie rozumiałam jej. Czasami była bardzo romantyczna, a czasami tak trzeźwo podchodząca do życia, że człowiek wydawał się sobie największym blagierem na świecie. Może powinnam obudzić jej żyłkę kryminalistyczną, ale najpierw musiałam sama uchylić nieco rąbka tajemnicy wokół porośniętego bluszczem grobu.

Rozmyślałam nad nieznaną dziewczyną: jak mogła się nazywać, kiedy zmarła i kim mógł być ten Wilhelm, który w miłości sprawił jej tak piękny nagrobek. Zupełnie nagle przypomniało mi się, że w pobliżu był pogrzebany jeden Wilhelm. Wilhelm von Sunderburg, który odszedł w tak młodym wieku, krewny Roberta. Czy istniał jakiś związek między nim a tajemniczym grobem dziewczyny?

Imię Wilhelm nie należało wtedy wprawdzie do rzadkich, ale możliwe było, że... Bardzo głupio wypadło, pomyślałam, że w klubie jachtowym od razu posprzeczałam się z Robertem von Sunderburgiem. Z drugiej strony była to jego wina i zagadywanie go ponownie graniczyłoby z wyparciem się siebie. A ja aż pękałam z ciekawości, żeby zapytać go o historię jego rodziny. Na pewno by wiedział, czy istniał jakiś związek między jego rodziną a grobem dziewczyny. Poczulałam mrowienie w brzuchu. Już sobie wyobraziłam cudownie romantyczną historię miłosną. Później jednak stanął mi przed oczyma ten arogancki macho - pozer i pomyślałam, że na pewno do końca życia nie zamienię z nim już ani słowa! Niezależnie od całej romantyczności!



Chciałam pójść właśnie do łazienki, zmyć z siebie troski lawendowym płynem pod prysznic, kiedy zadzwoniła Lena.

- Słuchaj - powiedziała. - Całkiem zapomniałam powiedzieć ci o czymś ważnym. Pamiętasz tego Roberta von Sunderburga z klubu żeglarskiego, prawda?

Pamiętałam, jeszcze jak. Przecież dopiero co o nim myślałam. Czy to była telepatia?

- Roberta von Sunderburga? - odezwałam się natychmiast przytomnie. - Myślałam, że dla niego jesteś głupsza niż na blondynkę przystało? To on w ogóle jeszcze z tobą rozmawiał?

W głosie mojej przyjaciółki zabrzmiało lekkie zmieszanie.

- Wiesz, nie jest aż tak bardzo pamiętliwy. Ostatnio po prostu głupio wyszło.

- Ach! - Zamilkłam wyczekująco. Lena i tak wszystko dokładnie mi zrelacjonuje, nie musiałam jej poganiać. Jest urodzoną gadułą.

I jak się spodziewałam, natychmiast zaczęła nadawać.

- Nils mówił nam przecież, że jest nowy w klubie. Wyobraź sobie, że zaprosił nas na niewielką imprezę z okazji przyjęcia do klubu. - Głos Leny aż drżał z ledwie powstrzymanego podniecenia, czego absolutnie nie umiałam zrozumieć. Żeglarze ostatecznie dość często organizowali imprezy w restauracji klubowej.

- Nic nie mówisz?! - zdumiała się zaraz Lena.

- A co mam powiedzieć? To miło z jego strony.

- Miło! To mega odjazdowo! Ty też możesz z nami przyjść!

- Przyjść z wami? - Teraz jednak się zdziwiłam. - A dokąd?

- Do niego do domu, do willi von Sunderburgów!!! Odjęło mi mowę. Czy to prawda? Co za wspaniałe zrządzenie losu! Natychmiast ogarnął mnie niepokój.

- Kiedy?

- W poniedziałek. Myślisz, że powinniśmy coś wziąć? Kwiaty dla mamy czy coś w tym rodzaju?

- Tak, tak... Nie zaszkodzi... - odpowiedziałam na jej pytanie, myślami jednak byłam zupełnie gdzie indziej. Zastanawiałam się właśnie nad tym, jak mogłabym wykorzystać zaproszenie, aby dowiedzieć się czegoś więcej na temat przodka Roberta, który zmarł w dniu swoich dwudziestych czwartych urodzin, Wilhelma von Sunderburga.

Zanim Lena odłożyła słuchawkę, spróbowałam jeszcze raz skierować rozmowę na swój problem.

- Miałaś już kiedyś zapaść krążeniową?

- Zapaść... co? - Lena sprawiała wrażenie zaskoczonej. Najwyraźniej ostatnio nie miała problemów z ukrwieniem serca!

Nie interesuje się mną ani trochę, pomyślałam.

- Ach, nic - westchnęłam zrezygnowana.

- Ależ tak! - Teraz jednak się zaciekawiła. - Co się dzieje z twoim krążeniem?

I tak, pomijając tajemnicze szczegóły, opowiedziałam Lenie o swoim zemdleniu na cmentarzu.

- ...i wtedy straciłam przytomność, Yannik zdążył mnie złapać dosłownie w ostatniej chwili.

- Niesamowite! - W głosie Leny pobrzmiewała radość. - To brzmi megaromantycznie. Nie spodziewałabym się tego po Yanniku.

- Co? Że mnie złapie, kiedy mdleje?

- Nie, takiej troskliwości. Założę się, że mu się podobasz!

Westchnęłam głęboko. Cała Lena, pomyślałam. Czyżby chciała mi zasugerować coś z Yannikiem? Musiałam ją jak najszybciej sprowadzić do parteru.

Zanim jednak cokolwiek zdążyłam powiedzieć, pożegnała się ze mną słowami „Dobranoc, słodkich słów” i odłożyła słuchawkę.

## Rozdział 4

### Szok przy herbacie

Wizyta u lekarza uspokoiła mnie. Po gruntownym zbadaniu zrobił mi EKG, które nie wykazało żadnych odchyłeń.

- Złapałaś chyba jakąś drobną infekcję wirusową - stwierdził na koniec doktor Jurgens. - Przy tak wietrznej pogodzie, jaką teraz mamy, mogła się lekko odbić na krążeniu. Uprawiaj sport, to cię trochę nakręci i wzmocni również przeciwko infekcjom.

Przy tej pięknej pogodzie najchętniej od razu poszłabym za jego radą, niestety mama odwiozła mnie prosto do szkoły. A po południu w programie nie było żeglowania, tylko zaproszenie do Roberta von Sunderburga. Mimo że byłam bardzo ciekawa, nie umiałam się tak naprawdę cieszyć jak Lena. W moim żołądku rozpanoszyło się niezbyt przyjemne uczucie, które utrzymywało się przez całe przedpołudnie.

- Mogłabyś nas zawieźć? - spytałam mamę przy obiedzie.  
- Luisenhohe. Nie mam pojęcia, gdzie to jest.

- Elitarna dzielnica - powiedziała. - Stoi tam tylko kilka wielkich willi. Sama też tam nigdy nie byłam, ale jeśli trzeba, to zawiozę tam ciebie i Lenę. Jak to się stało, że macie zaszczyt być tam zaproszone?

Uśmiechnęła się przepraszająco za swoją ciekawość. Wprawdzie na kursach ezoteryki też miała uczestników z tak zwanych wyższych sfer, ale Sunderburgowie byli jeszcze inną kategorią ludzi i oczywiście zaproszenie do nich jej córki przepełniało ją dumą. Pod tym względem nie różniła się w najmniejszym stopniu od mamy Leny, która również nie posiadała się z radości.

Mało tego, faszerowała córkę wskazówkami na temat zachowania w zamożnych kręgach arystokratycznych, gdy ta wciskała się obok mnie na tylne siedzenie samochodu.

- Tak, tak, mamó, już dobrze! Nie palnę gafy - wymamrotała zdenerwowana Lena i wyraźnie poczuła ulgę, kiedy samochód ruszył i wreszcie mogła pomachać stojącej na skraju jezdni mamie.

- Masz kwiaty? - spytałam. Pytanie było właściwie zbędne, ponieważ trudno było nie zauważyć bukietu, który trzymała na kolanach. O numer mniejszy też by wystarczył, pomyślałam. Ostatecznie to nie my mamy pieniądze. Chyba nie myślała, że w ten sposób komuś z tej rodziny zaimponuje!

- Wysadzę was tutaj - powiedziała mama, wjeżdżając na wzniesienie. - To ulica jednokierunkowa, nie mogę jechać dalej.

Kiedy szłyśmy wąskim chodnikiem, mijając otoczone wysokimi żywopłotami i murami parcele, znów ogarnął mnie pewien niepokój. Te wielometrowe wały obronne przed willami były tak odpychające. I nawet tam, gdzie przerywały je potężne bramy wjazdowe, emanowały atmosferą zakładu karnego.

- Brakuje tylko druta kolczastego, a byłoby jak w więzieniu na Rennelsbergu! - Lena odczuwała to samo. - Z tą tylko różnicą, że ci tutaj, w przeciwieństwie do więźniów, siedzą tu dobrowolnie i nie pragną wyjść na wolność, tylko robią wszystko, żeby nikogo nie wpuścić do środka.

Zachichotałam, rozbawiona porównaniem.

- Mój Boże, ależ muszą się bać o swoją własność! Jak to dobrze, że nie należę do superbogatyh!

- To tutaj! - zawołała nagle Lena, a jej głos aż drżał z podniecenia. Zatrzymała się i wskazała na przynajmniej dwumetrową białą bramę z ornamentem z kutego żelaza, zamykającą wjazd. Nieco z boku, pod kolumnowym portalem znajdowały się drzwi. Najwyraźniej dla pieszych. Po dokładniejszych oględzinach odkryłyśmy wpuszczony w

kolumnę interkom. Nad nim widniały żelazne cyfry numeru domu. Nazwiska mieszkańców nigdzie nie było.

- Myślisz, że to naprawdę tutaj? - spytała Lena, która nagle straciła całą pewność siebie i nie miała odwagi nacisnąć dzwonka.

- Tak, tutaj. Numer się zgadza. Tylko że nie ma nazwiska. Dla bezpieczeństwa. No już, dzwoń. - Powoli i mnie ogarniał niepokój.

- A co mam powiedzieć, kiedy mnie o coś pytają? Nienawidzę tych wszystkich urządzeń gadających.

Doskonale to rozumiałam. Zawsze gdy odwiedzałam ciocię w nowoczesnym apartamentowcu, musiałam najpierw odpowiadać przez domofon, zanim mnie wpuściła. Mimo to nie mogłyśmy stać pod tymi drzwiami całą wieczność. Zebrałam się w sobie.

- Ja mam to zrobić? - zapytałam odważnie.

Jednak w tej samej chwili Lena też postanowiła zakończyć tę niezręczną sytuację i energicznie zabrać się do rzeczy. Zadzwoiła.

- Słucham? - niemal natychmiast rozległo się w głośniku.

- Kto tam? Proszę się wylegitymować?

- Hę?

- No, masz pokazać dokument! - przetłumaczyłam. - Jak to? Dlaczego mam cokolwiek pokazywać?

- szepnęła bezradnie Lena.

- Powiedz, że jesteśmy zaproszone.

Głos w głośniku powtórzył swoje żądanie.

- My... my zostałyśmy zaproszone... - wyjąkała moja przyjaciółka.

- Nazwisko proszę.

- Lena... Lena Heise...

- Chwileczkę, panno Heise, pan Robert von Sunderburg zaraz po panią przyjedzie.

Drzwi zabrzęczały cicho. I podczas gdy zastanawialiśmy się, czy powinniśmy wejść do środka, otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Przeszliśmy przez nie i stanęliśmy na początku szerokiego, żwirowego podjazdu, zakręcającego do wytwornej willi z eleganckimi, łukowatymi schodami zewnętrznymi.

Wzdłuż drogi rosły rododendrony, wysokie stare platany i idealnie przycięte krzewy ligustra. Piramidy i kule z krzewów zdobiły półokrągły plac przed wejściem na schody. Tam, jak przypuszczaliśmy, musiało się znajdować wejście do willi.

- Mamy iść? - spytała Lena. Pokręciłam głową.

- Nie. Słyszałaś przecież. Robert po nas przyjedzie.

I rzeczywiście spod domu ruszył mały, dziwne wyglądający pojazd i zaczął zmierzać w naszą stronę. Przypomniałam sobie, że widziałam już coś takiego w jakimś filmie.

- To wózek golfowy - powiedział ze śmiechem Robert. - Elektryczny Zazwyczaj używa się go na polu golfowym. Przydaje się jednak i tutaj. O ile nie trzeba przetransportować więcej niż trzy osoby.

Zajęliśmy miejsca na tylnym siedzeniu i pojazd ruszył z cichym szmerem po podjeździe na plac.

Dopiero stamtąd można było zobaczyć willę w całej jej okazałości.

- Pochodzi z końca XIX wieku, z epoki przemysłowej - wyjaśnił Robert, jakby potrafił czytać w naszych oczach niewypowiedziane pytania. - Jest zbudowana z okolicznego piaskowca. Nawiasem mówiąc, według projektu mojego pradziadka.

- Był architektem? - spytałam dociekliwie. Chłopak roześmiał się.

- Nie, ale chyba chętnie by nim został. Może to było jego marzenie? W każdym razie dokładnie wiedział, czego chciał,

planując tę willę. Reprezentacyjne pomieszczenia, park z egzotycznymi roślinami, oranżeria i łaźnia rzymska.

- Wow! - wymknęło się Lenie.

Z kolei ja znów uznałam to za lekkie pozerstwo.

- I to wszystko jeszcze się zachowało?

- Jasne. Oczywiście zostało do tej pory zmodernizowane. Pokażę wam przy okazji. Na dzisiaj zaplanowałam niewielkie party na tarasie, przy kawie czy herbacie. Nils już jest.

Popatrzyłyśmy na siebie poirytowane. A gdzie inni? Zaprosił tylko nas troje?

- Ehe, czy będzie ktoś jeszcze z klubu? - spytałam.

- Myślałam, że to impreza z okazji twojego przyjęcia...

Robert pomógł Lenie przy wysiadaniu i poprowadził nas wokół domu.

- Cóż, impreza to trochę za dużo powiedziane... ale spotkanie powitalne urządzę naturalnie w klubie dla wszystkich... - Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego, po czym powiedział: - No więc zaprosiłem was właściwie dlatego, że ostatnio zachowałem się kompletnie niestosownie. Bardzo mi przykro, może w ten sposób będę mógł to naprawić.

Rzuciłam mu nieufne spojrzenie. Trochę za bardzo zapachniało mi to wazeliniarstwem!

Ze schodów frontowych na tylną, wychodzącą na ogród stronę domu prowadził szeroki taras. Tam kończył się przed przypominającym pałac ogrodem zimowym w angielskim stylu. To pewnie ta oranżeria, pomyślałam. Jak dotąd widziałam takie rzeczy tylko w kinie albo w telewizji. Westchnęłam cicho. O rany, oni muszą być obrzydliwie bogaci!

Robert zauważył wreszcie, że Lena ściska kurczowo wielki bukiet kwiatów.



- Są dla mnie? - spytał, mrugając. - Choć raz jakaś odmiana: kwiaty dla faceta!

- Ehe, nie... nie... właściwie... przyniosłyśmy je dla twojej mamy.

- Dla mojej mamy?

Zmieszał się lekko. Później jednak się roześmiał.

- Hm, to nie będzie takie łatwe. Nie zakładam, że wybieracie się jeszcze dzisiaj na cmentarz Świętego Magnusa.

Połąpałam się jako pierwsza. Ale gafa, przyniosłyśmy kwiaty dla zmarłej matki! To zły omen dla tych odwiedzin, uznałam. Robert najwyraźniej podszedł do tego z humorem. Przemawiało to za tym, że jego mama nie żyła już od dawna, a on zdążył się już pogodzić z jej śmiercią. W takim razie na pewno można było swobodnie o tym rozmawiać. Dostrzegłam dobrą okazję do wyjaśnienia kilku kwestii na temat historii rodzinnej Sunderburgów, dlatego spytałam, może zbyt bezpośrednio:

- Twoja mama nie żyje? A kiedy zmarła?

Usiłowałam przypomnieć sobie inskrypcje na krzyżach, ponieważ najprawdopodobniej leżała pochowana wśród innych Sunderburgów.

Zanim jednak Robert zdążył odpowiedzieć, doszliśmy do podnóża schodów, u szczytu których czekała na nas elegancko ubrana, starsza pani. Jak się okazało, była to Luisa, cioteczna babka Roberta.

- Daj jej kwiaty - syknęłam do Leny, podczas gdy onieśmiałe wspinałyśmy się po szerokich schodach.

Kiedy weszłyśmy na taras, z podłogi podniosły się dwa wielkie psy myśliwskie, przyglądając nam się z uwagą.

- To Conny i Lena - przedstawił nas starszej pani Robert.

- A to moja cioteczna babcia Luisa.

Lena z zakłopotaniem obracała bukiet w dłoni, następnie wyprostowała rękę i wręczyła go jej jak Święty Mikołaj prezent.

- Ehe, dziękujemy za zaproszenie - powiedziałam szybko.

- Och, jak to miło z waszej strony! - ciocia - babcia Luisa przyjęła kwiaty wyraźnie zachwycona. W każdym razie obdarowała nas uprzejmym uśmiechem i dotknęła jakiś przycisk na jednych z drzwi tarasowych. Wyszła z nich pomoc domowa, wzięła kwiaty, chwilę później przyniosła je z powrotem w eleganckim wazonie prosto na stół, który był zastawiony ekskluzywną porcelaną i szlachetną, srebrną zastawą.

Siedziały przy nim już dwie dziewczynki w wieku czterech i sześciu lat i wpychały sobie do ust duże kawałki ciasta czekoladowego.

- Moje siostry - przedstawił Robert chichoczące łasuchy. Obie były niebieskookimi blondyneczkami, ubranymi w falbaniaste sukienki w stylu Laury Ashley. Cudownie tu pasują, pomyślałam i nagle mi się wydało, że przeniosłam się w inne stulecie. Nils stał oparty o balustradę i kiedy Lena pozbyła się kwiatów, natychmiast do niego pospieszyła. No świetnie, a ja co miałam robić? Stałam na olbrzymim tarasie jak półtora nieszczęścia.

Dziewczynki zerwały się z krzeseł i pobiegly do ogrodu. Dwa psy ruszyły za nimi, pozostałe dwa ułożyły się po obu stronach schodów.

- Proszę, usiądźcie. Zobaczymy, co zostawiły nam te małe łakomczuchy.

Robert wskazał na miękko wyściełany fotel z drzewa tekowego.

O Boże, pomyślałam. Obym tylko nie straciła filiżanki. Ale wszystko układało się dobrze, rozwinęła się nawet

przyjemna rozmowa, ponieważ ciocia - babcia Luisa okazała się mądrą i uprzejmą panią domu.

Robert gawędził z Nilsem o żeglowaniu po Bałtyku, wspomnieli też planowany na Wniebowstąpienie rejs grupy młodzieżowej.

- Też chętnie bym popłynął - powiedział właśnie. - Może przydam się na coś początkującym. Znam Bałtyk jak własną kieszeń. - Spojrzał przy tym na mnie z uśmiechem i zaczął opowiadać zabawne historie z internatu.

Chodził do dwunastej klasy. O tym, że teraz odbywał praktykę w firmie swojego ojca, już wiedziałam.

- Ponieważ pewnego dnia przejmę firmę, nie ma sensu, żebym uczył się jej zarządzania gdzie indziej - wyjaśnił. - Niczego nie zgubiłem w piekarni czy jakimś nudnym urzędzie. Tu jest moje dziedziczne miejsce!

Znów uznałam, że jest zbyt wyniosły. Dlaczego zawsze musiał błyszczeć? Wyglądał przecież bardzo dobrze i potrafił być też miły. Wcale nie potrzebował afiszować się bogatym pochodzeniem. Czyżby brakowało mu pewności siebie?

Moje rozmyślania zostały przerwane, kiedy otworzyły się drzwi tarasowe i wyszedł przez nie wysoki mężczyzna. Psy natychmiast się zerwały i podbiegły go przywitać, machając ogonami.

Przybysz pogłaskał je krótko, po czym przeniósł wzrok na siedzących przy stole.

Kiedy spoczęło na mnie spojrzenie jego szarych oczu, zaparło mi dech. I zanim jeszcze Robert zerwał się i wybiegł mu naprzeciw, mówiąc: „Dzień dobry, dziadku!”, wyczułam natychmiast niezwykłą więź między nimi.

Na widok sióstr Roberta byłam zdziwiona, że tak mało go przypominają. Ciocia - babcia Luisa o jasnej karnacji i srebrnosiwych włosach też była w porównaniu z nim bardzo eteryczna. Teraz jednak zobaczyłam jego dziadka. Wysoki,

szczupły, siwowłosy, ponad pół wieku starszy od Roberta - a mimo to... co za niespotykane, ba, wręcz przerażające podobieństwo. Duży, prosty nos, przekorna, lekko arogancka rysa wokół wyrazistych ust, mocna linia brwi i badawcze, niemal przenikliwe spojrzenie stalowoszarych, niezmaconych wiekiem oczu.

- Dosłownie jakby z niego skórę zdjął - szepnęłam do Leny porażona.

- Kto?

- No, Robert ze swojego dziadka.

- Zgadza się. Tylko włosy Robert ma brązowe, nie siwe i... jest dużo ładniejszy.

Zachichotałam. Tak bym go nie nazwała, pomyślałam. Obaj sprawiali wrażenie zbyt dzikich, aroganckich, zawziętych, żeby określić ich mianem ładnych.

Chichot ściągnął na mnie kolejne spojrzenie dziadka Roberta.

- Czy znam te młode damy? - zwrócił się do wnuka. - Jeszcze nie, to koleżanki z mojego nowego klubu jachtowego.

- Koleżanki? Tak, tak...

- To Lena i jej chłopak Nils. - Robert wskazał na tę dwójkę. Następnie wziął mnie za rękę, podniósł z fotela i przyciągnął trochę bliżej dziadka. Gdy mu mnie przedstawiał, w jego głosie dała się wyczuć dziwnie wyczekująca nuta.

- ...a to jest Constanze.

- Constanze? - Dziadek Roberta powoli wypowiedział moje imię. Wydawał się przy tym głęboko pogrążony w myślach. - Constanze! - powtórzył raz jeszcze, tym razem z takim ożywieniem, że poczułam się tak, jakby napisał moje imię płonącym pismem w coraz chłodniejszym powietrzu. Zawisło nagle między nami jak znak ostrzegawczy

- Dlaczego tak się nazywasz? - spytał i nieoczekiwanie postąpił krok w moją stronę. - Czy jest jakiś powód, dla którego nosisz to imię?

Jego pytanie trzasnęło jak bicz, wzdrygnęłam się mimowolnie. Byłam głęboko zszokowana tym nagłym i intensywnym, w dodatku raczej nieuprzejmym zainteresowaniem moją osobą.

- Ehe, ehe, nie, nic mi o tym nie wiadomo... Moim rodzicom po prostu spodobało się to imię...

Dziadek Roberta wciąż jeszcze przyglądał mi się przenikliwie.

- Nie ma w niej nic a nic z Constanze! - powiedział stanowczo, patrząc na swoją siostrę Luisę, następnie odwrócił się gwałtownie i sprężystym krokiem zszedł z tarasu. Dwa psy myśliwskie poderwały się i pobiegły za swoim panem.

Stałam jak rażona gromem. We wnętrzach dłoni gromadził mi się zimny pot.

O rany, pomyślałam, jak to możliwe, żeby imię tak bardzo wyprowadziło kogoś z równowagi? Constanze nie było może rekordów popularności na świecie, ale w dzisiejszych czasach pojawiała się dość często i jak dotąd nikt nie unosił się tak z jego powodu.

Kiedy starszy pan opuścił taras, ciocia - babcia wzięła Roberta na stronę i coś mu szeptała. Mimo że jednoznacznie nie wypadało się przysłuchiwać, zdołałam zrozumieć kilka strzępków słów.

- Ty... nie zadawaj się z nią - powiedziała cichym głosem, na tyle jednak głośno, że do mnie dotarły. - ...nie zniósłby tego.

Robert zaśmiał się krótkim, wymuszonym śmiechem, który miał zamaskować jego zakłopotanie. Co za idiotyczna sytuacja, pomyślałam.

- Nie przyprowadzaj jej tu więcej - kontynuowała ciocia - babcia przytłumionym głosem, rzucając mi druzgocące spojrzenie.

- Ale dlaczego nie? - mruknął Robert.

Było oczywiste, że to całe zamieszanie wokół mojego imienia również dla niego było całkowicie niejasne.

- Imiona... To tylko puste słowa!... miła dziewczyna. Dlaczego miałbym jej już nie zaprosić?

Ciocia Luisa odwróciła się i zakończyła rozmowę.

- Nie ma żadnego dlaczego!

- Zostań! - próbował zatrzymać ją Robert. - Wyjaśnij mi to! Proszę! Dlaczego jesteście wobec niej tak niegościnni? - Już nawet nie starał się mówić cicho.

Tymczasem Lena i Nils również się zorientowali, że coś nie gra, i patrzyli na nas z nieskrywaną ciekawością. Pod ich wzrokiem ciocia - babcia Roberta wyprostowała pochylone plecy. Przyjrzała mi się jeszcze raz, tym razem raczej współczująco.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała cicho, jakby prosząc o zrozumienie - ale... imię Constanze to niedobry znak dla tego domu.

## Rozdział 5

### Kontakty ze światem duchów

Po wszystkich dość irytujących wydarzeniach ostatnich dni przeżycie w domu Sunderburgów bardzo mnie niepokoiło, próbowałam znaleźć wyjaśnienie na niezwykle dziwaczne zachowanie dziadka Roberta. Na próżno. Może, zastanawiałam się, to wina niedobrego układu gwiazd, które wszystkie zupełnie zwyczajne rzeczy stawiają w nieco niezwykłym świetle. Lena natomiast kompletnie nie mogła się uspokoić i kiedy Nils odjechał na swoim rowerze, a my ruszyliśmy pieszo, zaczęła głośno i bez ogródek krytykować nieuprzejme zachowanie rodziny Sunderburgów.

- To był absolutny obciach! Jakim prawem ten dziadek tak na ciebie napadł?! Czy myśli, że ponieważ wręcz śmierdzi kasą, to może sobie na wszystko pozwolić? Byliśmy gośćmi w jego domu, a gości nie traktuje się w ten sposób.

Przyznałam jej rację. Również i dla mnie zachowanie dziadka i cioci - babci Roberta pozostawało totalną zagadką.

- Odniosłam wrażenie - powiedziałam zamyślona - jakby wspomnienie mojego imienia było złamaniem jakiegoś niepisanego prawa w ich domu. Także ciocia Luise wymówiła je z dużą niechęcią.

I wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - A może dziadek Roberta znał kiedyś jakąś Constanze?

Lena natychmiast go podchwyciła.

- Jasne! Na pewno o to chodzi! - wykrzyknęła z aprobatą.  
- O jakąś starą historię rodzinną, której nikt nie powinien przypominać.

Od razu też dostarczyła kilku argumentów na poparcie swojej teorii:

- Czarna owca w rodzinie, miłość do osoby niższego stanu, potomek z nieprawego łoża...

Uznałam je wszystkie za dość przekonujące, jednak w przeciwieństwie do Leny miałam wrażenie, że kryło się za tym więcej, niż przypuszczałyśmy. Nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że wypowiedzenie mojego imienia w domu Sunderburgów naruszyło nie tylko pewne tabu, lecz obudziło prócz przykrych wspomnień przemożne lęki, których przyczyny kryły się najwyraźniej w przeszłości. Pasowały do tego również dziwne słowa ostrzeżenia ciotki Luisy. Zastanawiałam się, jakie mogli mieć problemy z tamtą Constanze i dlaczego ciocia - babcia tak definitywnie zabroniła Robertowi zadawać się ze mną? Dlaczego jego dziadek miałby tego nie znieść i jakie straty mogłaby ponieść rodzina Sunderburgów?

Bardzo osobliwe wydało mi się i to, że Robert nie miał pojęcia o tej dawnej historii, ponieważ podobnie jak my wydawał się kompletnie zaskoczony reakcją dziadka i cioci - babci.

- Strasznie to wszystko dziwne - odezwałam się do Leny, głośno myśląc. - Zapytam Roberta, kiedy spotkamy go w klubie. - I mimo że właściwie sama w to nie wierzyłam, dodałam: - Na pewno będzie umiał nam wyjaśnić, co tak zdenerwowało jego dziadka.

Rozeszłyśmy się z Leną na przystanku autobusowym w centrum. Chciałam wykorzystać jeszcze okazję i wstąpić szybko do biblioteki miejskiej, żeby poszukać książek o spotkaniach z duchami i zjawiskach nadprzyrodzonych. Denerwowałam się, że przez nieoczekiwany występ starszego pana nie miałam okazji wypytać Roberta o Wilhelma von Sunderburga. Nadal bowiem żywo mnie interesowało, dlaczego zmarł tak wcześnie i czy przypadkiem istniał jakiś związek między nim a piękną nieznajomą.

Zaskoczył mnie spory zbiór książek o duchach i postrzeganiu pozazmysłowym. Znalazłam go w dziale



„Paranauki - parapsychologia" i miałam prawdziwe trudności, co wybrać. Najchętniej zabrałabym do domu wszystkie, których już same tytuły brzmiały megainteresująco. Książka o zjawach na cmentarzach angielskich zafascynowała mnie szczególnie, ponieważ były w niej nawet rozmazane zdjęcia duchów zmarłych. Aż ciarki mnie przeszły! Zdecydowałam się wreszcie na tę i dwie inne książki. Jedna z nich miała tytuł Świat mocy tajemnych i wnioskując ze spisu treści, wyjaśniała sprawy związane z pojawieniami się duchów, kontaktami ze zmarłymi i niewyjaśnionymi zjawiskami wszelkiego rodzaju. Druga książka, Przesłania z zaświatów, miała tak fascynujący rysunek na stronie tytułowej, mimo że było to tylko wydanie kieszonkowe, iż nie byłam w stanie odłożyć jej na półkę.

Młoda bibliotekarka w wypożyczalni uśmiechnęła się do mnie znacząco.

- Co, chcesz sobie urządzić wieczór grozy?

Odwzajemniłam uśmiech, spakowałam książki i bez komentarza wyszłam z biblioteki.

Przeszłam najkrótszą drogą na przystanek autobusowy, aby jak najszybciej znaleźć się w domu. Aż się paliłam, żeby przeszukać książki pod kątem wskazówek, które mogłyby mi pomóc wyjaśnić dziwne i zagmatwane wydarzenia ostatnich dni.

W domu musiałam jednak najpierw zaspokoić ciekawość mamy i z detalami opowiedzieć o odwiedzinach u Sunderburgów. Była lekko rozczarowana, ponieważ przyjęto mnie tylko na tarasie, a w dodatku zapomniałam zerknąć, jakiej marki były filiżanki do herbaty.

- Ojej, mamó - powiedziałam wreszcie sfrustrowana. - Zapomnij. Na taką zastawę i tak nas nie stać. I jeśli myślisz, że kiedykolwiek dałabym się wcisnąć w sukienkę od Laury Ashley, to grubo się mylisz! Ten temat zakończyliśmy już w dniu moich dwunastych urodzin. - I ze zgrozą przypominałam

sobie o nieznośnie kwiecistej sukience w ludowym stylu, którą mama uznała dla mnie za stosowniejszą od wystrzępionych, hippisowskich dżinsów ze sklepu z odzieżą używaną. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby mama urządziła dom, który odziedziczyliśmy po dziadkach, w prawdziwie przytulnym, wiejskim stylu, ale do mojej szafy z ubraniami on nie pasował.

- Muszę się jeszcze pouczyć - dodałam, aby mieć pewność, że nikt nie będzie mi przeszkadzał. Wzięłam butelkę wody i wycofałam się do swojego pokoju.

Usadowiłam się wygodnie na sofie, postanawiając przeczytać jako pierwszą Świat mocy tajemnych. Przerzuciłam kilka kartek, aż natrafiłam na tytuł rozdziału, który przykuł moją uwagę. Dzieci media - ich sensacyjne zdolności. Szybko zagłębiłam się w coraz ciekawsze wywody. Autor był naukowcem zajmującym się parapsychologią. Przebadał wiele dzieci i nastolatków, które nawiązywały kontakty ze zmarłymi i doświadczały najrozmaitszych doznań paranormalnych.

O tym, że dzieci mają zdolności mediumiczne, ich rodzice przekonują się zazwyczaj wtedy, kiedy nagle zmarła babcia siedzi z nimi przy stole, pisał.

Zachichotałam. Zorientowałam się jednak szybko, że autor nie był żartownisiem i dość poważnie podchodził do sprawy. Opisywał, że nie tylko dzieci, ale i nastolatki w okresie dojrzewania często mają zdolności pozwalające im na postrzeganie oprócz świata realnego innej płaszczyzny istnienia i komunikowania się z duchami zmarłych. Straszne, pomyślałam.

Musiałam strawić to, co właśnie przeczytałam, i jak zwykle wtedy, gdy zakuwałam jakiś trudny materiał, rozpoczęłam rozmowę z Szamponem, który leżał zrelaksowany przed moim łóżkiem.

- Szampon, rozumiesz to? Tu jest napisane: Każda istota roztacza wokół siebie promieniowanie świetlne, które jest widzialne dla medium. Nazywa się je ciałem astralnym lub aurą. - Pochyliłam się nad psem. - Pokaż! - Niczego nie dostrzegłam, chociaż wpatrywałam się naprawdę intensywnie. - Może widać to tylko w ciemnościach, trzeba by wyłączyć światło na próbę!

Zachichotałam głupio i dalej czytałam psu na głos:

- Uzdolnione mediumicznie dzieci reagują bardzo intensywnie na świat niematerialny, który nazywamy też zaświatami. Potrafią integrować oba światy, ponieważ mają szczególnie niski próg wrażliwości. Niektóre z nich mają na przykład ekstremalnie znakomity słuch. Słyszą nawet ultradźwięki z piszczałek przeznaczonych do wydawania komend psom i kotom...

Przerwałam wykład.

- My też to znamy! Prawda, Szampon? - powiedziałam. - Kocia piszczałka sąsiadów wkurza nas co wieczór, zgadza się, stary?

Czytałam cicho dalej. Media są znacznie bardziej wrażliwe na temperaturę i jej wahania, widzą lub czują emisję energii wydzielanej przez organizmy żywe i przedmioty oraz są w stanie określić, czy jest ona dobra, czy zła.

Wyciągnęłam rękę nad głowę psa, który tymczasem usiadł, wpatrywał się we mnie wiernymi ślepiami i uważnie nadstawiał uszu.

- Niech no sprawdzę! Hm... - Demonstracyjnie zamknęłam oczy, podczas gdy moja dłoń nadal wisiała nad głową Szampona. - Bardzo negatywna, bardzo. Zamiast o duchowych rozkoszach myślisz znów o żarciu! Wstydź się!

Zadzwoił telefon. Gdy odebrałam, ku swojemu zdziwieniu usłyszałam głos Roberta.

- Constanze, słuchaj - powiedział z ubolewaniem.

- Zachowanie dziadka i cioci Luisy nie daje mi spokoju. Chciałbym cię za nich przeprosić. Co ty sobie musisz teraz myśleć o mojej rodzinie?

- Ach, nic się nie stało - starałam się ukryć frustrację, do jakiej doprowadziło mnie zajście w jego domu.

- Stało się, i to dużo - upierał się Robert. - Zazwyczaj jesteśmy bardzo gościnni i... - zawahał się przez chwilę.

- Zależało mi bardzo, żebyś akurat ty została dobrze przyjęta.

Na moment odebrało mi mowę. Co on właśnie powiedział?

- Może cię to dziwi - kontynuował - ale po pierwszym spotkaniu, kiedy tak niespodziewanie padłaś u mych stóp, nie mogłem o tobie zapomnieć.

O nie! To nie do wiary. Zabrzmiało to jak... odpędziłam od siebie myśl, nie dokończywszy jej nawet. Ostatecznie widziałam Roberta zaledwie kilka razy i nie za każdym wywarł na mnie dobre wrażenie. Błyskawicznie zaczęłam rozważać jego zalety i wady. Dobrze wyglądał i był szarmancki, ale był też arogancki, bogaty i obnosił się z tym, jednocześnie był zabawny, uprzejmy, wysportowany, miał absolutnie odjazdową żaglówkę i... niesamowicie interesującą rodzinę!

Trzymaj tego chłopaka, podpowiadał mi wewnętrzny głos. Nawet jeśli ma kilka wad, jest tysiąc razy ciekawszy od nudziarzy z twojej klasy.

- Nie wiem też, dlaczego dziadek tak dziwnie zareagował na twoje imię - usłyszałam głos Roberta, przerywający moje rozmyślenia.

- Musi być przecież jakaś przyczyna jego niechęci. Nie było w rodzinie czarnej owcy o imieniu Constanze? - spytałam.

- Nie, nie - odrzucił sugestię z lekkim rozbawieniem w głosie. - O ile wiem, w naszej rodzinie w ogóle nie było żadnej Constanze. A jeśli już, to jakaś odległa krewna... ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Jak dotąd nie zajmowałem się zbytnio historią naszej rodziny.

- Ale kiedyś powinieneś zacząć - zaleciłam mu. - Myślę, że masz mnóstwo ciekawych przodków. Na przykład Wilhelma von Sunderburga, który zmarł w swoje dwudzieste czwarte urodziny.

W kolejnym pytaniu Roberta usłyszałam zdziwienie.

- Skąd wiesz o Wilhelmie?

- Przypadkowo odkryłam jego grób na cmentarzu Świętego Magnusa - wyjaśniłam szybko. - Tam, gdzie jest pochowana również twoja mama. Mamy w szkole taki projekt biologiczny...

- Projekt biologiczny? Na cmentarzu? Moim zdaniem brzmi to trochę makabrycznie!

- Tak - zgodziłam się z nim. - Na początku też tak uważałam, ale w gruncie rzeczy chodzi w nim tylko o policzenie króliczków i drzew, identyfikację roślin i stwierdzenie, jak w takich miejscach rozwija się przyroda.

- Aha.

- Nie jest to szczególnie zajmujące - powiedziałam.

- Stare groby są o wiele ciekawsze, i historie, jakie opowiadają. .. czy tylko sugerują...

Zdobyłam się na odwagę. Jeśli odczuwał do mnie sympatię, to na pewno opowie mi więcej o swojej rodzinie.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Wilhelmie i jego przedwczesnej śmierci. Czyż to nie jest niesamowity przypadek, że oboje poznaliśmy się akurat teraz, kiedy natknęłam się na groby waszej rodziny?

Robert był trochę nieswój, gdy mi odpowiedział.

- Hm, nie wiem. Od śmierci mamy przed siedmioma laty nie mam miłych wspomnień związanych z cmentarzem. A o inne groby i tak się nie troszczyłem. Od czasu do czasu, najczęściej w rocznice, zanosimy wieńce i kwiaty, niekiedy ja też tam idę. Poza tym jednak zostawiam zmarłych w spokoju.

Przytaknęłam mu tylko.

Słyszałam, jak wziął głęboki wdech, po czym z nieco udawaną wesołością powiedział:

- Miałabyś może ochotę popłynąć ze mną na jachcie? Zapraszam cię. Muszę ci jakoś zadośćuczynić fatalne zachowanie rodziny.

Poczułam łaskotanie w brzuchu, jakby fruwały po nim motyle.

Czy przypadkiem dobrze usłyszałam? Robert zapraszał mnie na swoją niesamowitą łódź?

Jasne, że zgodziłam się, zachwycona.

Kiedy po rozmowie z nim próbowałam czytać dalej, nie byłam w stanie się skoncentrować. Wciąż kołatała mi się po głowie myśl o Robercie przystojniaku. Mimo to zmusiłam się do skończenia przynajmniej zaczętego rozdziału.

Zdumiałam się. Autor pisał, że w rodzinach wszystkich uzdolnionych mediumicznie dzieci, które zbadał, występował już przynajmniej jeden przypadek takich zdolności. Ze na przykład babcia, ciocia czy też - słuchajcie, słuchajcie - dziadek dysponowali odpowiednimi predyspozycjami.

Skłoniło mnie to jeszcze raz do rozmyślań. Storo ojciec taty widywał duchy, to było wielce prawdopodobne, że ja też dysponowałam tą właściwością. Hm. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego odkrycia, wydało mi się ono dość niesamowite.

Z jednej strony stanowiłoby jakieś wyjaśnienie, dlaczego na cmentarzu czułam coś zupełnie innego niż Yannik, z drugiej strony jednak napawało mnie strachem. Przyznałam się przed sobą, że niekoniecznie paliło mi się do

nawiązywania kontaktu z zaświatami. Kto wie, czy człowieka nie spotka tam coś strasznego, a samo wspomnienie tego lodowatego uczucia, które ogarnęło mnie zniecka nad grobem nieznaney dziewczyny, znów we mnie ożyło. Wstrząsana dreszczem zamknęłam książkę i postanowiłam na razie z tym skończyć. Pozostałe książki mogłam przejrzeć przed snem.

Zdjęłam ubranie, wślizgnęłam się w szlafrok i przeszłam do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Gdy cała pokryłam się orzeźwiająco pachnącą pianą, odetchnęłam z ulgą. Tak naprawdę życie jest całkiem przyjemne, pomyślałam, tylko nie wolno pozwolić, aby odbijały się na nim jakieś straszne projekty cmentarne. Jeszcze kilka dni temu byłam totalnie sfrustrowana, bo nie interesował się mną żaden chłopak, a teraz megainteresujący Robert von Sunderburg zapraszał mnie na wycieczkę jachtem. Jak inaczej to nazwać, jeśli nie szczęśliwym zwrotem w moim dość monotonnym życiu?

Po prysznicu ogarnęło mnie błogie zmęczenie. Zdołałam przeczytać zaledwie kilka stron z książki o zjawach na cmentarzach angielskich. Oczy same mi się zamykały.

Niektórzy ludzie, było w niej napisane, mają zdolności do nieświadomego odczuwania historii przedmiotów lub ich właścicieli. Nagrobek mógłby im na przykład opowiedzieć, co przeżył lub przecierpiał człowiek, dla którego został wzniesiony. Ciarki przeszły mi po plecach i nagle całkiem oprzytomniałam.

Wszystko wydało się jasne: czy to możliwe, że mam te nadzwyczajne zdolności i przemówił do mnie nagrobek tej dziewczyny? Zamknęłam oczy i zabrałam w krainę snu tę niepokojącą, ale i fascynującą myśl.

## Rozdział 6

### Na tropach tajemnicy

Kiedy następnego dnia rano weszłam na dziedziniec szkoły, natychmiast podszedł do mnie Yannik z wiadomością.

- Na trzeciej lekcji możemy iść do biura zarządcy cmentarza. Wczoraj ustaliłem termin - powiedział.

- Ach! - Nie byłam szczególnie uradowana. - A po co tam pójdziemy?

- Zadać nasze pytania.

- Jakie? - spytałam znudzona. Tego, co chciałam wiedzieć, na pewno nikt w administracji mi nie wyjaśni.

Yannik popatrzył na mnie, jakbym była jakimś absolutnie beznadziejnym przypadkiem.

- W jaki sposób pielęgnowany jest cmentarz. Ekstensywnie czy intensywnie, kiedy i jak często koszone są trawniki, czy latem są podlewane, kiedy zostały posadzone stare drzewa, czy na cmentarzu odbywają się jeszcze pogrzeby i tak dalej... Powinniśmy dowiedzieć się jak najwięcej. Kto lepiej udzieli nam tych wszystkich informacji, jeśli nie pracownik biura?

Westchnęłam w głębi ducha. Ekstensywnie, intensywnie, koszenie trawników... Wrrr. Ze swoim niekontrolowanym instynktem badawczym ten chłopak na pewno zostanie kiedyś profesorem.

- Koniecznie muszę pójść z tobą? - próbowałam wymigać się od nudnego zadania. Dziś naprawdę miałam w głowie coś innego, po południu chciałam przecież żeglować z Robertem! Yannik jednak zareagował z niekłamany oburzeniem.

- Wszystko bardzo mnie interesuje i chciałbym na koniec projektu dostać jeszcze dobrą ocenę. Ale nie zgadzam się, żebym to ja odwał całą robotę, a ty potem spijała śmietankę za objanie się. Gdybyś zapomniała, to ci przypomnę: to jest nasz wspólny projekt! Jeżeli sobie myślisz, że przyjdzie ci to



lekką rączką, to znajdź sobie innego partnera. Nie zgadzam się na taki układ.

O rany, pomyślałam, co za poruszenie! Nigdy jeszcze tak na mnie nie wsiadł. Naprawdę musiał być okropnie sfrustrowany.

- No dobrze - zgodziłam się dla świętego spokoju. - Skoro już nas umówiłeś...

Kiedy przyszliśmy do administracji cmentarza i zaczęliśmy rozmowę, moje zainteresowanie rosło z każdą chwilą. Już wkrótce zadawałam więcej pytań niż Yannik, który dość szybko załatwił swoją faunę i florę.

Okazało się mianowicie, że pan Burgsmuller, kierownik administracji cmentarnej, piastował swój urząd od niedawna i bardzo chętnie udzielał wyczerpujących informacji. Opowiedział nam nie tylko o działaniach pielęgnacyjnych, ale i bardzo żywo nakreślił historię cmentarzy miejskich. Jednakże ciężko było przerwać jego słowotok.

Dowiedzieliśmy się na przykład, że cmentarzami były kiedyś z reguły dziedzińce kościołów.

- Na początku XVIII wieku książę Karol I wydał zakaz grzebania na cmentarzach wewnątrzmijskich. Wiązało się to z faktem, że coraz biedniejsi mieszkańcy wsi przenosili się do szybko rozwijających się miast. Nie były one w stanie pomieścić tak licznych przybyszów, a przede wszystkim zapewnić im dość pracy i chleba. Wielu umierało wtedy z niedożywienia i na zarazy. W miastach piętrzyły się sterty trupów...

- Super - westchnęłam podczas tego drastycznego opisu.

- ...dla których nie starczyło już miejsca na placach wokół kościołów. Miało to znaczący wpływ na zdrowie mieszkańców. Wtedy nie znano przecież chłodzonych kostnic jak dzisiaj.

- Co więc robiono ze zwłokami? - spytał Yannik.

- Palono je?

- Nie, na litość boską! Większość ludności była wyznania katolickiego. Dla katolików spalenie zwłok było aktem niechrześcijańskim i nie do pomyślenia. Aby zyskać więcej miejsca na grzebanie w ziemi, zaczęto zakładać najpierw tak zwane cmentarze dla biedoty z grobami masowymi przed bramami miasta. Nieliczne miejsca na dziedzińcach kościelnych były zarezerwowane dla ważnych osobistości. Kiedy jednak również wysoko urodzeni zaczęli padać jak muchy na skutek różnych epidemii, dla nich i dla dworskich urzędników też założono cmentarze poza granicami miasta. Ten cmentarz był takim właśnie miejscem pochówku. Wieczny spoczynek znalazło na nim wiele słynnych osobistości miasta i arystokratów.

- A czy dziś odbywają się na nim jeszcze pogrzeby? - spytał Yannik.

- Tak - odparł pan Burgsmuller. - Istnieją bowiem jeszcze stare prawa pochówku.

- A co to dokładnie oznacza?

- To, że są tam jeszcze kwatery rodzinne, w których wciąż jeszcze grzebani są zmarli.

Nadstawiłam uszu.

- A ta z wieloma krzyżami, należąca do rodziny von Sunderburg, też? - spytałam szybko, zanim pan Burgsmuller zdążył rozpocząć kolejny obszerny wykład.

Kierownik cmentarza skinął głową.

- Tak, słusznie. Ostatni pogrzeb odbył się tam przed siedmioma laty.

To musiała być mama Roberta, pomyślałam. On miał akurat jedenaście lat. Smutne, w tak młodym wieku stracić matkę. Może dlatego był troszeczkę specyficzny. Ponownie skupiłam swoją uwagę na panu Burgsmullerze, ponieważ zaczął opowiadać historię rodzinną Sunderburgów.

- To jedna z najbardziej poważanych rodzin w naszym mieście - mówił właśnie. - Przybyli tu w XVIII wieku z południa i założyli w okolicy manufakturę. Początkowo nie szło im dobrze. Oswald Sunderburg, założyciel fabryki, podobnie jak wiele innych osób padł ofiarą szalejącej w tamtych czasach zarazy i został pochowany na cmentarzu dla ubogich.

- Oswald? Wydaje mi się jednak, że widziałam jego imię na jednym z krzyży, a te przecież stoją na dawnym cmentarzu dworskim, a nie dla ubogich - wtrąciłam zdezorientowana.

Pan Burgsmuller uśmiechnął się, najwyraźniej uradowany moim zainteresowaniem.

- Masz rację. To dlatego, że wiele lat później został przeniesiony.

- Przeniesiony?

- Tak, z cmentarza dla ubogich przeniesiono jego szczątki. Kilkadziesiąt lat po jego śmierci synowie przestawili część produkcji na broń. Zapewniło im to sukces gospodarczy i w czasie wojny z Francuzami awansowali na nadwornych dostawców. Założyciel fabryki Oswald został pośmiertnie podniesiony do stanu szlacheckiego i pogrzebany na cmentarzu dworskim.

- I od tego czasu są tam chowani wszyscy członkowie rodziny?

Pan Burgsmuller skinął głową.

- W każdym razie wszyscy, którzy zmarli tutaj. Polegli podczas pierwszej wojny światowej synowie pozostali jak wielu innych na polu bitwy pod Verdun. Przypomina ich krzyż pamiątkowy

Natychmiast zdałam sobie sprawę, o jakim krzyżu mówił, i od tej chwili nie miałam już żadnych hamulców. Może wiedział też coś na temat losów Wilhelma, a może nawet uda

mi się wydobyć z niego imię dziewczyny, której marmurowa podobizna wywołała we mnie tak niepokojące uczucia.

Skorzystałam z okazji i zadałam pytanie, które nurtowało mnie już od dłuższego czasu.

- A kim był Wilhelm von Sunderburg?

- Wilhelm von Sunderburg? - kierownik cmentarza popatrzył na mnie pytająco.

- Tak, zwróciłam uwagę na to, że zmarł dokładnie w swoje dwudzieste czwarte urodziny.

- To smutna historia - odparł pan Burgsmuller w zamyśleniu.

- Dlaczego? - Ledwie mogłam powstrzymać swoją ciekawość.

- Cóż, taki młody człowiek. To zawsze smutne, kiedy ktoś umiera zbyt młodo.

Byłam rozczarowana. Jasne, że to było smutne, też tak uważałam, ale nie mógł wyjawić mi jakichś szczegółów? Już miałam zadać kolejne pytanie, gdy Yannik dźgnął mnie łokciem pod żebra.

- Daj spokój - syknęłam, a zwracając się do pana Burgsmullera, spytałam:

- A na co umiera się w tak młodym wieku?

- Ośmieszasz się tylko tym wypytywaniem - szepnął Yannik, a głośno powiedział: - Myślę, że powinniśmy już iść. Naprawdę bardzo nam pan pomógł.

A to idiota, pomyślałam. Mogłabym go udusić gołymi rękami!

Podczas gdy Yannik wstawał, spróbowałam nawiązać do swojego ostatniego pytania.

- Co pan powiedział? Nie usłyszałam odpowiedzi, ponieważ mój kolega z klasy właśnie pana zagłuszył. Na co więc zmarł Wilhelm von Sunderburg?

Kierownik cmentarza również się podniósł.

- Nic nie mówiłem - powiedział, uśmiechając się pod nosem. - Ponieważ naprawdę nic nie wiem. Pracuję w administracji od niedawna, a na naszych cmentarzach leży tyle znanych osobistości, których historią należałoby się zająć. Niestety, dopiero zacząłem wszystko porządkować. Może pomożecie mi w tym trochę. Przejdźcie się do archiwum miejskiego. Jest tam wiele starych gazet na mikrofilmach. Dajcie mi znać, jeśli znajdziecie przyczynę śmierci Wilhelma.

I zanim zdążyłam spytać o grób nieznaney dziewczyny, Yannik dosłownie wyciągnął mnie z biura, mówiąc:

- Dziękujemy bardzo za czas, który nam pan poświęcił, i informacje.

- Odbiło ci? - ofuknęłam go pod drzwiami. - Dlaczego tak nagle zaczęło ci się śpieszyć? Przecież to ty chciałeś koniecznie tu przyjść i nie pozwoliłeś mi nawet spytać o to, co mnie interesuje!

- Twoje pytania nie miały nic wspólnego z naszym projektem! Poza tym musimy wracać do szkoły na piątą lekcję. Kogo to obchodzi, na co zmarł jakiś tam Wilhelm pół wieku temu?

- Mnie to obchodzi! - warknęłam na niego, wciąż jeszcze wściekła. - Musiałam wysłuchiwać twoich idiotycznych pytań o koszeniu trawników i podlewaniu grobów. A więc ty też mogłeś zdobyć się na kilka minut cierpliwości i pozwolić mi zadać moje!

- Kilka minut! Bo pęknę ze śmiechu. W moim przypadku trwało to najwyżej kwadrans. Całą resztę czasu rozmawialiście wyłącznie o zmarłych. Pewne rzeczy były dość interesujące, ale wytrzymałem prawie całą wieczność i teraz mam już dość.

Ruszył zdecydowanym krokiem po schodach do wyjścia. Wściekła pobiegłam za nim.

Na przystanku autobusowym staliśmy obok siebie w milczeniu. Potem nadjechał autobus, wsiedliśmy, również nie zamieniając ani słowa. Milcząco usiedliśmy naprzeciwko sobie.

Kiedy autobus dojeżdżał już do szkoły, zmusiłam się do zadania jednego pytania:

- Ta wskazówka z archiwum miejskim była bardzo pomocna. Wybrałbyś się tam ze mną?

Yannik popatrzył na mnie, jakbym wcisnęła mu do ust żywą żabę czekoladową. Postukał się w czoło.

- Czy ja nie mam nic innego do roboty? Muszę jeszcze skombinować z biblioteki uniwersyteckiej kilka książek o bluszczach. Te różnorodne kształty liści są naprawdę interesujące. Koniecznie trzeba wyjaśnić tę sprawę.

- A ja muszę koniecznie wyjaśnić sprawę Wilhelma! - rzuciłam zdecydowanym tonem, wyskoczyłam na przystanku z autobusu i wściekła ruszyłam zwawym krokiem do szkoły

Z tyłu dobiegło mnie nie mniej zdenerwowane wołanie Yannika:

- Beze mnie! Sama się oddawaj tym nekrofilskim skłonnościom!

Wchodząc do budynku szkoły zastanawiałam się, co chciał przez to powiedzieć, musiałam natychmiast sprawdzić to słowo w słowniku w bibliotece szkolnej. Na pewno było to jakieś świństwo!

- Nazi... - Nega... - negli.. - Negri... - Negro... - Nekro... - Spędzałam z Leną dziesięciominutową przerwę w bibliotece i kartkowałam pośpiesznie słownik wyrazów obcych. Jest! - Nekrolog - przeczytałam. - Zawiadomienie o śmierci. Aha, a więc ma coś wspólnego ze zmarłymi. - Moja ciekawość rosła.

Szybko przewróciłam kolejną stronę. Lena przyglądała mi się cierpliwie.

- Nekromancja - wróżenie polegające na wywoływaniu duchów zmarłych, żeby wypytać ich o przyszłość.

- Ostre! - stwierdziła Lena. - Brzmi jak czarna msza. Czy o to chodziło?

Pokręciłam głową.

- Pośpiesz się, zaraz będzie dzwonek!

- Jest... - Zadałam sobie trud i odczytałam prawidłowo skomplikowane słowo, które Yannikowi tak łatwo przeszło przez usta! Ten chłopak był trochę zbyt przemądrzały.

- Nekrofilia).

- I co to oznacza? - dopytywała się Lena.

- Co proszę? Chyba źle widzę! - prychnęłam wściekle. - Wiesz, co tu jest napisane?

- Nie, ale mam nadzieję, że mi powiesz!

- Tylko trzymaj się mocno. To oznacza: pociąg płciowy do zwłoki Ale numer! Czyżby ten typek zarzucał mi skłonności do trupów? Bezczelność!

Lena zachichotała głupio.

- Jesteś całkiem pewna, że naprawdę wiesz, co powiedział? I że ciebie miał przy tym na myśli?

Zatrzasnęłam słownik i odstawiłam go na regał. Wciąż jeszcze byłam rozgniewana, jednak pytanie Leny wprowadziło mnie w zamyślenie.

Może Yannik nie do końca wiedział, co naprawdę znaczyło użyte przez niego jako obelga słowo. Może wcale nie jest taki uzdolniony!

W każdym razie postanowiłam się z nim rozmówić. Nie mógł mnie tak traktować!

Niestety, w szkole nie nadarzyła się już ku temu okazja, ponieważ najwyraźniej schodził mi z drogi. Wracając do domu, wyjęłam więc komórkę i wybrałam jego numer, który na szczęście dał mi na początku projektu. „Żeby nam było łatwiej ustalać terminy!”

Niczego się nie spodziewając, odebrał mój telefon.

- Dobrze się jeszcze czujesz? - prychnęłam najgłośniejszym głosem, jak umiałam. - Wiesz, co powiedziałaś do mnie, gdy się rozstawaliśmy?

Najwyraźniej nie był zorientowany w temacie, ponieważ już o wszystkim zdążył zapomnieć.

Przypomniałam mu więc i dodałam niesioną falą wściekłości:

- Żądam, żebyś natychmiast mnie przeprosił! Fakt, że interesuję się historią zmarłych, nie oznacza jednak, że uprawiam profanację zwłok.

Lena dała mi kuksańca w bok, wskazując na innych pasażerów.

- Ciii! Nie rób z siebie pośmiewiska...

Mnie jednak nie można już było zatrzymać. Nabrałam powietrza i dodałam rozzłoszczona:

- Tym w każdym razie zajmują się króliki!

Z drugiej strony łączy dobiegł mnie stłumiony chichot.

- Daj już spokój - odezwał się wreszcie Yannik. - Tak mi się wyrwało. Choć, szczerze mówiąc, twoje zainteresowanie wydaje mi się trochę nienaturalne. Przyłożyłabyś się lepiej do naszego projektu.

- Mam to potraktować jako przeprosiny? - upewniłam się, wciąż jeszcze wkurzona.

Znów cichy chichot.

- No więc, skoro tak to widzisz...

- Tak czy nie! W przypadku nie rozstajemy się i możesz sam pracować dalej nad projektem. Ja tymczasem zacznę ograbiać zwłoki!

Znów zgarnęłam poruszone spojrzenie Leny, która wyraźnie odetchnęła, gdy Yannik powiedział na koniec:

- No dobrze, przepraszam. Cofam wszystko i stwierdzam całkowite przeciwieństwo!



- A widzisz, jednak można - powiedziałam z opanowaniem i prawdziwą satysfakcją.

- Ale dziś wieczorem musisz pójść ze mną na cmentarz.

- Proszę? A po co?

- Mieliśmy przecież sprawdzić, czy mieszkają tam nietoperze i sowy.

Westchnęłam. Ten chłopak był naprawdę beznadziejnym przypadkiem.

- OK, ale nie za wcześnie, chciałabym dziś wreszcie pożegłować.

- Jasne - odparł Yannik. - Spotkamy się przed zmrokiem przy wejściu południowym. Nie zapomnij zabrać czosnku! Wiesz, przeciwko wampirom Stephana!

## Rozdział 7

### Conny w niebezpieczeństwie

Naciskałam mocno pedały roweru i rozkoszowałam się świeżym, wiosennym powietrzem owiewającym mi twarz. Cieszyłam się na żeglowanie z Robertem. Byłam zadowolona, że choć przez kilka godzin nie będę miała nic wspólnego z cmentarzami, zwłokami i tajemniczymi grobami. Oczywiście, gdyby nadarzyła się okazja, wypytam Roberta o Wilhelma von Sunderburga, przede wszystkim jednak chciałam nacieszyć się żeglowaniem. Najpierw mieliśmy poćwiczyć manewry do egzaminu żeglarskiego, a potem odbyć rejs na świetnej łodzi Roberta. Na pewno będzie wesoło. Postanowiłam, że nareszcie będę się dobrze bawić, nie łamiąc sobie ciągle głowy zawiłymi tajemnicami. Wszystko to wina tego głupiego projektu cmentarnego, pomyślałam. On zatruwa całą atmosferę. Ostatecznie wcześniej nie miałam problemów z krążeniem, a moją głowę zaprzętały wyłącznie sprawy tego świata, a nie zmarłych. Jak najszybciej oddam książki spirytualistyczne do biblioteki, zdecydowałam, i zapomnę o tych wszystkich bzdurach nadprzyrodzonych.

Byłam na siebie lekko zła, że obiecałam Yannikowi przyjście wieczorem na cmentarz.

- Ale potem koniec! - powiedziałam zdecydowanie. Ostatecznie tydzień projektowy dobiegał końca.

Jak zwykle Lena była już nad jeziorem i przygotowywała właśnie naszą łódź. Nils pomagał zepchnąć ją na wodę.

- Conny, pospiesz się! Czeka nas dziś mnóstwo roboty! - zawołał do mnie.

Szybko zarzuciłam na siebie kamizelkę ratunkową i wskoczyłam do nich na pokład. Roberta jeszcze nie było. Cóż, najpierw musiałam poćwiczyć z Leną do egzaminu.

- Co mamy w planach? - spytałam zciekawiona. Lena uniosła plastikowy kanister.

- Manewry „człowiek za burtą”! - wyjaśniła ze śmiechem.  
- Och, ale to piekielnie trudne. Naprawdę myślisz, że sobie poradzimy, Nils?

Chłopak uśmiechnął się.

- Dacie radę. I na pewno to będzie na egzaminie. A więc ćwiczenia nigdy dość. Ruszajmy! Żagiel na maszt i odbijamy!

Tym razem Lena siedziała z tyłu obok Nilsa, a ja klęczałam na dziobie łodzi i miałam za zadanie obsługę forszota. Łódź ruszyła i kiedy zaczęliśmy halsować na wolnych wodach, Nils rzucił komendę:

- Człowiek za burtą!

Lena zachichotała i wyrzuciła plastikowy kanister.

- Wszystko gotowe do zwrotu? - zapytał Nils.

- Wszystko gotowe! - odpowiedziałyśmy z Leną jednym głosem.

Przepełnęliśmy jeszcze kilka długości łodzi, zrobiliśmy - moim zdaniem - wzorowy zwrot i ruszyliśmy z powrotem do miejsca, gdzie na wodzie unosił się kanister. Lena ustawiła żagiel tak, że tylko łopotał na wietrze. Łódź sunęła powoli do kanistra.

- Ostrożnie - upomniął nas Nils. - Pamiętajcie o tym, że kanister mógłby być człowiekiem! Nie może dostać się pod kil!

Lena postawiła łódź w dryf, a ja przechyliłam się nad relingiem, chwyciłam kanister i wciągnęłam go do łodzi.

- Człowiek na pokładzie! - wykrzyknęłam zgodnie z przepisami, podsuwając Nilsowi pod nogi kanister.

- I co? - spytała Lena. - Jak nam wyszło?

Nils ścisnął między kolanami ster, żeby mieć wolne ręce.

- Brawo, dziewczyny! Pierwsza klasa! Egzamin macie właściwie w kieszeni.

Podpłynęliśmy z Nilsem do przystani, gdzie od razu przesiadł się do innej łodzi. Przećwiczyliśmy manewr jeszcze

kilkakrotnie same, przy czym zmieniałyśmy się przy sterze i szocie.

I znów wszystko właściwie dobrze się układało, gdy nagle nasz kurs przecięła żaglówka Roberta von Sunderburga z mocno nadętymi, czerwonymi żaglami. Przez nieuwagę zrobiłam mimowolny zwrot, który omal nie doprowadził naszej łodzi do wywrotki. Lekko oszołomione podплыnęłyśmy chwilę później do pomostu.

Nils był wściekły i klął jak szewc, ledwie wyszłyśmy na ląd.

- Ten typek najzwyczajniej w świecie przeciął wasz kurs! Czy on nie zna zasad nawigacji?!

Kiedy Robert przybije, Nils na pewno nie omieszka powiedzieć mu swojego zdania prosto w twarz. Ale i nam się oberwało.

- Miałyście ćwiczyć manewr „człowiek za burtą”, a nie bawić się w zatapianie łodzi! Zawsze może się zdarzyć, że jakiś idiota przepłynie wam tuż przed dziobem, nie możecie od razu wpadać w panikę, bo dalej popłyniecie kilem do góry!

Lena zachowała zimną krew.

- To było doświadczenie ekstremalne - powiedziała z wyraźną dumą, ponieważ jednak poradziłyśmy sobie z przeszkodą. Niestety, kanister, czyli nasz rozbitek, pozostał na wodzie. W sytuacji kryzysowej mogłoby to się źle skończyć.

Dobrze, że to nie ja, pomyślałam nagle i poczułam ciarki na plecach.

Gorąca czekolada przy barze Henninga szybko przywróciła mi dobry humor. Chwilę później pojawił się też Robert. Nils najwyraźniej udzielił mu już reprimendy, ponieważ natychmiast przeprosił nas za nieprzemyślany manewr.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział. - Chciałem się z wami szybko przywitać.

- OK - zamknęła temat Lena. - Miło by jednak było, gdybyś następnym razem pomyślał, że jesteśmy początkujące i nie mamy jeszcze w kieszeni patentów żeglarskich.

Później rozmowa zesza oczywiście jeszcze raz na dziwny koniec wizyty w willi Sunderburgów, który rozzłościł Lenę bardziej, niż myślałam.

- Nie wiem - zapewnił ponownie Robert. - Nie mam kompletnie pojęcia, co napadło dziadka i ciocię Luisę. Mówiłem już Conny, że w naszym domu goście są zawsze mile widziani.

- Myślisz, że twój dziadek znał kiedyś kobietę o imieniu Constanze? - spytała Lena prosto z mostu.

Robert wzruszył ramionami.

- Możliwe. Jakaś smutna młodzięcza miłość.

- Prawda?! - natychmiast podchwyciłam ten temat, ponieważ była to moja ulubiona teoria. - Byłoby to bardzo romantyczne. Naprawdę nic więcej nie wiesz?

- Nie, serio. Dziadek należy do pokolenia, które o tych rzeczach w ogóle nie rozmawia.

- A ciocia Luisa? Nie możesz jej podpytać? Robert roześmiał się.

- Od niej to już na pewno niczego nie wydobędę. Nigdy nie zdradziłaby tajemnicy brata. Kiedy wyszłyście, stanowczo mnie ostrzegła, żebym nie rozgrzebywał tej historii. Odniosłem wrażenie, że w jakiś sposób chciała ochronić dziadka. Może imię Constanze wywołało w nim bardzo przykre wspomnienia. Kiedy próbowałem się dowiedzieć czegoś więcej, napotkałem ścianę milczenia. Ciocia Luisa zamilkła jak grób.

Słowo grób przypomniało mi o projekcie z biologii i o tym, że niedługo będę musiała iść, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Yannikiem.

- Robert, jeżeli chcemy dziś jeszcze pożeglować - powiedziałam - to powinniśmy zaraz wypływać. Dziś wieczorem muszę jeszcze zajrzeć na cmentarz.

Kiedy popatrzył na mnie pytająco, uzupełniłam:

- Projekt z bioli. Nie opowiadałam ci o nim? Pokręcił głową, zaraz jednak dodał:

- Ach tak, wczoraj przez telefon wspomniałaś. Nie bardzo jednak sobie wyobrażam, jak taki projekt wygląda. Na łodzi wyjaśnisz mi to bliżej.

Wstał.

- Porywam Conny na chwilę - powiedział do Leny, która uśmiechając się pod nosem, dała mi kuksańca.

- Nie przepuszczasz okazji - szepnęła mi do ucha. Zmieszałam się.

Jacht Roberta był cudowny. Wszystko na nim lśniło i błyszczało, był nowiuteński, a czerwony żagiel w zestawieniu z granatem łodzi wyglądał megastyłowo. Żeglowaliśmy w stronę powoli zachodzącego słońca. Wiała tylko łagodna bryza, siedziałam obok Roberta przy sterze i rozluźniona trzymałam linę grotu. Mniejszy żagiel łopotał cicho na wietrze.

Robert objął mnie ramieniem. Hola, pomyślałam, temu to się śpieszy. Jego bliskość sprawiała mi jednak przyjemność, więc pozwoliłam mu na to.

Kiedy zawróciliśmy i powoli żeglowaliśmy z powrotem, ponieważ czekało mnie jeszcze spotkanie z Yannikiem, zagadnęłam go ponownie o Wilhelma von Sunderburga.

- Naprawdę nie wiesz, dlaczego twój cioteczny dziadek Wilhelm zmarł tak wcześnie? - spytałam. Pytanie wymknęło mi się ot tak, bez zastanowienia. Dopiero na widok kompletnie zdezorientowanego wzroku Roberta poczułam się jak słoń w składzie porcelany i najchętniej odgryzłabym sobie język. Naprawdę nie chciałam go aż tak zaskoczyć.

Już miałam przeprosić za swoją bezpośredniość, kiedy wzrok Roberta się zmienił. Popatrzył na mnie z wielką nieufnością i spytał niemal czujnie:

- Dlaczego tak bardzo cię to interesuje?

- Cóż, właściwie - wyjąkałam speszona jego dziwną reakcją. - Właściwie tylko dlatego, że umarł bardzo młodo, w dodatku w dniu swoich urodzin... to przecież... ehe... cóż... dość szczególnie...

Po tych wyjaśnieniach Robert potraktował moje zainteresowanie nieco łagodniej i udzielił mi kilku informacji.

- Wilhelm był starszym bratem mojego dziadka Friedricha von Sunderburga. Nigdy nie interesowałam się nim zbyt. Wiem tylko, że był żołnierzem i wrócił z wojny do domu chory.

Nie była to wyczerpująca informacja, mimo to spytałam z zainteresowaniem:

- Tak chory, że zmarł?

- Prawdopodobnie.

Milczałam, zastanawiając się, jaka to mogła być choroba, o której Robert najwyraźniej nie chciał mówić.

Nie odważyłam się dążyć dalej. Chciałam jednak koniecznie dowiedzieć się czegoś innego.

Może będzie umiał mi powiedzieć, czy istniał jakiś związek między Wilhelmem a nieznaną dziewczyną.

Rozważałam właśnie, jak zgrabnie postawić pytanie, nie popełniając znowu gafy, gdy łódź przybiła do przystani.

- Szkoda, że musisz już iść - stwierdził Robert. - Jest taki cudowny wieczór i dopiero teraz tak naprawdę widać piękny zachód słońca.

Wyskoczyłam na kładkę.

- Będzie jeszcze niejeden piękny zachód słońca, może znów zaprosisz mnie na wieczorną przejażdżkę, kiedy nie będę musiała liczyć nietoperzy.

Robert roześmiał się.

- Chętnie, chętnie - powiedział. - Może od razu jutro?

- Dlaczego nie? - zawołałam, przycumowując jacht. - Zadzwoń do mnie albo przyślij SMS, to umówimy się konkretnie!

Robert również wyszedł z łodzi. - Naprawdę musisz iść? - spytał, patrząc na mnie smutno.

Pokiwałam głową i odparłam z ubolewaniem:

- Yannik czeka na mnie na cmentarzu.

Teraz albo nigdy, pomyślałam, trzeba kuć żelazo póki gorące.

- Nawiasem mówiąc, bada właśnie bluszcz na bardzo interesującym kamieniu nagrobnym. Stoi on tuż przy waszej rodzinnej kwaterze. Powinieneś go znać.

Robert spojrzał na mnie pytająco. Najwyraźniej rzeczywiście nie pokazywał się zbyt często na cmentarzu, mimo że leżała tam pochowana jego matka.

- Kamień jest ozdobiony marmurową podobizną prześlicznej dziewczyny Wyobraź sobie, co pod nią jest napisane...

Roberta - tak samo jak Yannika - cała ta sprawa niezbyt interesowała, szedł w kierunku budynku klubu. Na pewno myślał już o filiżance pysznej czekolady.

- To co jest tam napisane? - spytał mimochodem.

- Mojej jedynej miłości. Wilhelm. Myślisz, że tym Wilhelmem mógł być brat twojego dziadka?

Robert zatrzymał się gwałtownie. Tym razem w jego oczach lśniło coś więcej niż tylko nieufność. Było tak intensywne i przerażające, że natychmiast pożałowałam pytania.

Z mimiki jego twarzy mogłam wyczytać, jak bardzo starał się zachować spokój. W końcu przełknął kilkakrotnie, odetchnął głęboko i dopiero wtedy mi odpowiedział. Jego głos



znów miał tę arogancką intonację, tym razem z domieszką sarkazmu.

- Mój dziadek powiedziałby, że wtykasz nos trochę za głęboko w nasze sprawy rodzinne. Dlaczego w ogóle cię interesują te stare historie?

Aha, pomyślałam, a jednak podziałały na niego ostrzeżenia cioci - babci.

On też zaczął nagle wietrzyć niebezpieczeństwo w mojej osobie. Byłam dość zaskoczona jego reakcją, ale szybko się pozbierałam, a ponieważ nie chciałam go więcej irytować, powiedziałam najuprzejmiej jak umiałam:

- To naprawdę przypadek, Robercie, że zwróciłam uwagę na ten anonimowy kamień w pobliżu grobu Wilhelma. Może bym już dawno przestała zaprzętać sobie nim głowę, ale poznałam twoją rodzinę... Nie chciałbyś zdradzić mi czegoś więcej z historii swoich przodków? Wygląda mi to na niesamowicie intrygujący romans, a ja wręcz uwielbiam historie o miłości i tajemnicach.

Robert wyraźnie się już rozluźnił.

- Mała romantyczka - zaczął się przekomarzać. - Niestety, muszę cię rozczarować. Niewiele wiem o bracie dziadka Wilhelmie, ale o grobie, o którym wspomniałaś, naprawdę nie wiem nic. Muszę się przyznać, że nigdy nie zwróciłem na niego uwagi.

- Dobrze to rozumiem - powiedziałam. - Jest świetnie schowany pod rozłożystymi cisami i porośnięty bluszczem. Mogę ci go pokazać - zaproponowałam.

- Niekoniecznie - Robert odrzucił moją propozycję. - Ale mógłbym o tym pogadać z ojcem albo z ciocią Luisą. Jeśli rzeczywiście ma coś wspólnego z naszą rodziną, to na pewno będą wiedzieli. - Uśmiechnął się do mnie. - Zadowolona?

I zanim się obejrzałam, wycisnął mi na policzku pocałunek i zniknął w hangarze dla łodzi.

- Co to było? - spytała Lena, która wyrosła przede mną jak spod ziemi.

Spojrzałam zakłopotana na jezioro, gdzie piękna żaglówka Roberta spokojnie kołysała się na wodzie.

- Nic, zupełnie nic, tylko przyjacielski pocałunek na pożegnanie...

- Aha - roześmiała się. - Teraz to tak się nazywa?

Jadąc przez park miejski na cmentarz św. Magnusa, myślałam o obietnicy Roberta. Ciocia Luisa czy jego ojciec na pewno mogli opowiedzieć jakieś ciekawostki rodzinne z dawnych czasów. Może jednak całkiem się myliłam i nie było żadnego związku między nieznaną dziewczyną a Wilhelmem von Sunderburgiem. Mimo to jaki inny Wilhelm mógł ufundować jej kamień nagrobny?

Gdybym tylko wiedziała, jak nazywała się ta dziewczyna, pomyślałam, albo przynajmniej, kiedy zmarła. Być może ten grób pochodzi z wcześniejszego stulecia i choćby ze względów czasowych nic go nie łączy z Wilhelmem von Sunderburgiem.

Wciąż jeszcze zaintrygowana tą kwestią dojechałam do bramy południowej, gdzie czekał już na mnie Yannik.

Zapięłam rower i weszłam za nim przez żelazną furtkę.

- Jak myślisz, czy w administracji cmentarza można dostać informację o grobach? - spytałam go od razu.

Yannik popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem.

- Znów zaczynasz? - rzucił niezbyt uprzejmie. Zastanawiałam się, czy nie zostawić tego tematu, ale coś mnie popychało, żeby wyjaśnić tajemnicę nieznaney dziewczyny.

- Chodzi mi tylko o ten grób z bluszczem. Chciałabym wiedzieć, kim była ta dziewczyna i kto tak bardzo ją kochał, że postawił jej ten kamień nagrobny.

Spróbowałam wzbudzić w Yanniku zainteresowanie i dodałam z przesadnym entuzjazmem:

- Nie uważasz, że to niesamowicie romantyczne?

Uśmiechnął się pod nosem. Jednak jego instynkt badawczy dotyczył wyłącznie aspektów biologicznych, ponieważ odpowiedział sucho:

- Nie bardziej niż liczenie nietoperzy z tobą.

Beznadziejny przypadek, pomyślałam i zrezygnowana wzięłam od niego gwizdek, żeby zwabić nasze obiekty badawcze. Częstotliwość akustyczna była tak wysoka, że nawet moje przyzwyczajone do kocich gwizdków uszy nie były w stanie jej wyłapać. Chyba nie jestem jednak aż tak wrażliwa, powiedziałam w duchu i nawet nie było mi smutno z tego powodu. Egzystencja nadwrażliwego medium musiała być dość przerażająca: ciągłe postrzeganie rzeczy, których normalni ludzie nie zauważali.

Kiedy postanowiliśmy z Yannikiem zakończyć naszą wycieczkę, słońce już zaszło i pod wpływem wieczornego chłodu z niestrzyżonych trawników zaczęły unosić się strzępki mgły. Rzeczywiście udało nam się zaobserwować kilka nietoperzy, Yannik naszkicował je w locie i koniecznie chciał porównać swój szkic ze zdjęciami w książce do biologii.

- Założę się, że był to borowiec wielki - stwierdził - mimo że powinien występować raczej w pobliżu zbiorników wodnych, gdzie jest dużo owadów.

- Czy wysysa też krew? - spytałam, czując na tę myśl lekki niepokój.

- Nie mam pojęcia. Muszę poczytać na ten temat.

Zupełnie niezamierzenie wybrałam drogę, która prowadziła obok kwatery Sunderburgów do grobu nieznanego. Zauważyłam to dopiero, kiedy w bladym wieczornym świetle dostrzegłam ciemne zarysy potężnych krzyży z piaskowca. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno i musieliśmy się pospieszyć, żeby nie zamknięto nas na cmentarzu.

- Cholera - mruknął Yannik. - Powinienem był zabrać latarkę.

- Ach, poradzimy sobie - odparłam dzielnie. - Dochodzi tu trochę światła z latarni, poza tym już nie raz szłam tą drogą.

Mimo to starałam się iść tuż za nim.

Nagle gdzieś z boku mignął mi wielki, bezgłośny cień i na chwilę odwrócił moją uwagę od Yannika. Poszybował nad grobami i z cichym, ochryplym krzykiem wylądował na jednym z krzyży.

Sowa, pomyślałam, gdy minął pierwszy strach, to może być tylko sowa. Chciałam właśnie zawołać szeptem Yannika, gdy krew dosłownie ścięła mi się w żyłach.

Spod krzyża, na którym przysiadła sowa, unosił się delikatny strzępek mgły. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej, gęstniejąc przy tym, i im było go więcej, tym jaśniej promieniał białawym światłem. Zadrzałam, ponieważ znów ogarnęło mnie lodowate zimno, które przenikało mnie aż do szpiku kości. Na drżących ustach zawisł mi krzyk, ale nie był w stanie się z nich wydostać.

Mgła unosiła się teraz centymetr nad ziemią. Czyżby nerwy robiły mi psikusa? Wydawało mi się, że przybrała ludzką postać wyglądającą jak zawoalowana dziewczyna.

I w chwili, gdy zdałam sobie z tego sprawę, ujrzałam, jak z lśniącej mgły wyrastają białe ramiona i ręce, a blade, lodowate palce wyciągają się w moją stronę.

Przed oczyma eksplodowało mi jaskrawe światło, krzyknęłam, ogarnięta wręcz zwierzęcą paniką.

## Rozdział 8

### Cienie z zaświatów

- YANNIK! - Mój rozpaczliwy krzyk mógłby obudzić zmarłego.

Yannik natychmiast zawrócił i rzucił się z powrotem do miejsca, gdzie się zatrzymałam. Najwyraźniej wcale nie zauważył, że zostałam z tyłu.

Dobiegłam do niego między ponurymi cisami i spanikowana rzuciłam mu się na szyję.

- Zabierz mnie stąd, Yannik - zawołałam rozhisteryzowana z przerażenia. - Zabierz, proszę! Szybko!!!

Oby jak najdalej stąd, myślałam gorączkowo, jak najdalej od tego straszego miejsca, gdzie zmarli mieszkają się z żywymi!

Ponieważ starania Yannika, żeby uspokoić mnie słowami, spełzły na niczym, wziął mnie po prostu za rękę i pociągnął w stronę wyjścia z cmentarza.

Kiedy przekroczyliśmy żelazną bramę, drżałam jeszcze na całym ciele jak osika.

- Mój Boże, masz tak lodowatą rękę jak ostatnio, podczas zapaści - powiedział zatroskanym głosem. Podciągnął mnie pod uliczną latarnię, do której przypięliśmy nasze rowery. Oddychałam ciężko.

- Jesteś okropnie blada. Coś cię przestraszyło? - spytał. Wpatrywałam się w niego. W otaczającej nas ciszy słyszeć było tylko mój charczący oddech.

- Conny? Odezwij się. Co cię tak przestraszyło? Nietoperz?

Pokręciłam głową. Na widok zatroskanej twarzy chłopaka mój strach powoli opadał. Co miałam odpowiedzieć na jego pytanie? Sama dobrze nie wiedziałam, co rozegrało się na moich oczach. Czy to działo się naprawdę, czy było tylko iluzją?

- To... to była sowa - powiedziałam cicho. - Olbrzymia sowa.

- Wow! - wymknęło mu się. - Super. - I z nieustającym instynktem badacza spytał: - Przypadkiem nie rozpoznałaś jaka?

Jeśli choć przez moment nosiłam się z zamiarem opowiedzenia Yannikowi o nadprzyrodzonej zjawie, to po tej reakcji mogłam sobie dać spokój. Nigdy by mnie nie zrozumiał. Był i pozostał bezwzględny realista. Jeszcze raz pokręciłam głową.

- Nie wiem - powiedziałam. - To był tylko wielki czarny cień, który przysiadł na jednym z krzyży rodziny Sunderburgów. Myślę, że na grobie Wilhelma.

- Genialne. - Chłopak interesował się wyłącznie sową. - Zaczaję się tu jutro wieczorem.

Odpinając rowery rzucił mi sceptyczne spojrzenie.

- Zakładam, że ty raczej nie będziesz chciała mi towarzyszyć?!

Kiedy trochę doszłam do siebie, ruszyliśmy w stronę domu, prowadząc rowery. Yannik znów nie dał się powstrzymać i odprowadził mnie pod same drzwi.

Jest naprawdę miły, pomyślałam. Gdyby jeszcze nie był takim kujonem!

I podczas gdy ta myśl kołatała mi się w głowie, Yannik nachylił się i delikatnie musnął moje włosy ustami.

- Śpij słodko, dobrej nocy!

Totalnie zaskoczona patrzyłam jak wskoczył zwinnie na rower, rzucając jeszcze „Ciao!” i zniknął za najbliższym zakrętem. Cóż, prawdopodobnie był to tylko nic nieznaczący troskliwy gest. Mimo to lekko poirytowana wprowadziłam rower pod daszek. Cicho otworzyłam drzwi, nie przejęłam się zbytnio radosnym powitaniem Szampona i w milczeniu

wślizgnęłam się do swojego pokoju. W ciemnościach zapaliłam świecę i położyłam się w ubraniu na łóżku.

Wpatrywałam się w płomień. Stopniowo przepełniał mnie bardzo głęboki, bolesny smutek.

Dzwonek komórki wyrwał mnie z medytacji. Zdumiona usłyszałam głos Roberta.

- Skąd masz mój numer? - spytałam zaskoczona.

- Wyciągnąłem od Leny! Masz ochotę na badania genealogiczne? - odpowiedział nieoczekiwanym pytaniem.

Skąd ta nagła zmiana nastawienia? Wcześniej wyglądało raczej na to, że brał mi za złe mieszanie się w ich sprawy rodzinne.

Gdy to zauważyłam, nie odpowiedział wprost, tylko rzucił wymijająco, że swoimi pytaniami rozbudziłam jego ciekawość. W drodze do domu przypomniało mu się, że w przeddzień confirmacji ojciec zabrał go do fabryki, aby pokazać galerię przodków.

- Co byś powiedziała na to, żebyśmy jutro po południu obejrzel ją wspólnie?

Byłam zachwycona, wołałam się jednak upewnić:

- Czy twoja rodzina nie będzie mieć nic przeciwko? - Jeśli nawet, to co? - zlekceważył moje obawy.

- Dziadek i ojciec polecili do USA, a ciocia Luisa właściwie nigdy nie zagląda do fabryki. Nikt się nie zorientuje, że oglądamy portrety i grzebiemy w historii firmy.

Wciąż jeszcze nie było dla mnie jasne, skąd wzięło się jego nagle zainteresowanie, gdy go o to spytałam, odpowiedział żartobliwie:

- Och, może jednak i ja jestem romantyczny! A co może być romantyczniejszego od oglądania z dziewczyną olejnych bohomazów i rozgrzebywania historii rodzinnych! Może dzięki temu prześcignę nawet twojego Yannika i badania cmentarne!

Aha, pomyślałam, a więc to o to chodzi. Robert był zwyczajnie zazdrosny o Yannika! Cóż, jak dla mnie, to bardzo słusznie, skoro ta zazdrość otwierała drzwi do archiwum rodzinnego Sunderburgów!

Z zachwytem przystałam na propozycję.

Robert przyjechał po mnie do szkoły swoim sportowym samochodem, co oczywiście ściągnęło na nas spojrzenia całej klasy.

Także Yannik popatrzył na mnie dość dziwnie, gdy nas mijał. Zrobiło mi się go trochę żal, ale ostatecznie nie miał przecież do mnie żadnych praw, a Robert był prawie moim chłopakiem, a przynajmniej był na dobrej drodze, żeby nim zostać.

Robert wjechał prosto na ogromny teren fabryki. Zatrzymał się przed dużym budynkiem, który wyglądał jak willa. Był bardzo zadbane, do wejścia na wysokim parterze prowadziły szerokie schody zewnętrzne.

- To budynek reprezentacyjny dla gości. Znajdują się tu ponadto biura mojego ojca, kadry kierowniczej i sale konferencyjne. Dziadek też ma tu jeszcze biuro, ponieważ będzie przewodniczył przyszłej radzie nadzorczej firmy.

Próbowałam robić mądrą minę, chociaż niewiele z tego rozumiałam. Weszliśmy, Robert pozdrowił młodą kobietę, która z uprzejmym uśmiechem siedziała przy komputerze niedaleko drzwi.

- Pani Wiesner, dzień dobry - powiedział. - Chciałbym pokazać przyjaciółce galerię przodków.

Pani Wiesner uśmiechnęła się jeszcze promienniejsze, a uśmiech dotyczył również mnie.

- To naprawdę bardzo interesujące - powiedziała i życzyła nam dobrej zabawy.

Weszliśmy szerokimi, wyłożonymi czerwonym chodnikiem schodami na pierwsze piętro.



Robert otworzył ciężkie, dębowe drzwi i wkroczyliśmy do galerii. Wisiały tu jeden przy drugim portrety przodków Roberta, a pomiędzy nimi umieszczono olejne obrazy bitewne lub widoki stopniowo rozrastającej się fabryki. Przypomniało mi się, jak pan Burgsmuller z zarządu cementarnego opowiadał, że w fabryce produkowano broń, a jej właściciele wyszli szczególnie dobrze na wojnie z Francją w dziewiętnastym stuleciu.

Rzeczywiście, w tym czasie fabryka została znacząco rozbudowana, ale i po pierwszej wojnie światowej nie dało się nie zauważyć jej wzrostu.

- Jasne - powiedział Robert, kiedy go o to zagadnęłam. - Nasza firma zawsze korzystała na zbrojeniach.

- Produkowaliście więc broń, nawet w czasie drugiej wojny światowej? - Ta myśl nie spodobała mi się ani trochę.

Robert wzruszył ramionami.

- Każda fabryka przerabiająca metal produkowała wtedy broń i amunicję. Nie dało się inaczej.

- A dzisiaj - dopytywałam się, ponieważ nie dawało mi to spokoju - wciąż jeszcze produkujecie broń?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - starał się mnie uspokoić Robert. - Również moja rodzina wyciągnęła pewną lekcję z tamtych wydarzeń! Produkuje wyłącznie obrabiarki. W czasach pokoju to i tak dużo lepszy interes. Mamy taki zbytek, że ojciec się zastanawia, czy nie powinniśmy wprowadzić firmy na giełdę. Właśnie dlatego ojciec z dziadkiem polecili do Stanów, żeby przygotować tam wejście na giełdę.

Szliśmy wzdłuż rzędu obrazów, aż trafiliśmy na portret młodego blondyna w mundurze Wehrmachtu. Był raczej smutny, co od razu rzucało się w oczy, ponieważ pozostałe malowidła przedstawiały zadowolone bądź zdecydowane rysy twarzy.

- Kto to jest? - spytałam. - Dlaczego tak smutno wygląda?

- To Wilhelm. Starszy brat mojego dziadka. Patrzyłam na portret zafascynowana, zastanawiając się, czy kiedy powstawał, Wilhelm albo nawet malarz przeczuwał już wczesny kres życia.

- Możliwe - odparł Robert na moja sugestię. - Widzisz, ma mundur. Portret powstał mianowicie na początku kampanii rosyjskiej podczas drugiej wojny światowej. Na pewno dostał już powołanie do armii i nie miał powodu, żeby optymistycznie patrzeć w przyszłość.

- Ale przeżył przecież wojnę? - przypomniałam sobie słowa Roberta. - Smutne jest jednak to, że krótko po powrocie do domu zmarł! Naprawdę nie wiesz, na jaką chorobę?

Robert pokręcił głową.

- Nie, nie wiem. W każdym razie niedokładnie. Myślę, że ojciec wspominał kiedyś o depresji lub czymś podobnym. Ale nie dam głowy.

Była to bardzo oszczędna informacja. Wydawało się, że na temat Wilhelma spuszczone w tej rodzinie zasłone milczenia. Dlaczego?

- Macie jakąś kronikę rodzinną? - spytałam. - Może tam byłoby coś napisane o przyczynie śmierci.

- Nie sędzę - stwierdził sceptycznie Robert - ale możemy sprawdzić.

Podprowadził mnie do drzwi na końcu galerii. Za nimi znajdowała się imponująca biblioteka prywatna z regałami po sufit przy każdej ścianie.

- Wiesz, gdzie stoi kronika rodzinna? - szepnęłam z nabożeństwem.

Skinął głową i pociągnął mnie za sobą.

Przystanął przed regałem z ciężkimi, oprawionymi w skórę tomami.

Na ich grzbietach widniały wytłoczone roczniki. Wyjął obiema rękami ten z napisem 1900 - 1950. Widocznie każda z ksiąg obejmowała pięćdziesiąt lat historii rodziny i firmy.

Robert położył tom na jednym ze stołów, otworzył go i zaczął kartkować. Nie było wcale łatwo znaleźć cokolwiek w tym morzu informacji, kronika była całkowicie zapchana dokumentacją firmy, korespondencją, umowami i zdjęciami.

- Co to jest? - spytałam, kładąc dłoń na stronie z jakimś dokumentem. - Wygląda jak testament.

- Prawie - odparł Robert, a w jego głosie również pobrzmiwała ciekawość. - Coś w rodzaju umowy spadkowej.

Oboje pochyliliśmy się tak pospiesznie nad tomem, że omal nie zderzyliśmy się głowami. Przez chwilę patrzyliśmy sobie głęboko w oczy.

- Kocham cię, Constanze! - szepnął, a gdy zobaczył, jak bardzo przestraszyły mnie jego słowa, dorzucił z uśmiechem: - Nie patrz z takim przerażeniem, to prawda! Zakochałem się w tobie po uszy.

- Mimo że dziadek i ciocia - babcia ostrzegali cię przede mną?

- Mimo - powiedział i z szelmowskim uśmiechem dorzucił: - Albo właśnie dlatego! Sunderburg nie znosi zakazów, a już na pewno nie w sprawach miłości!

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak bardzo w tym momencie przypominał swojego ciotecznego dziadka Wilhelma von Sunderburga.

Kiedy wróciliśmy do czytania umowy spadkowej, która dla mnie była tekstem dość skomplikowanym i zagadkowym, Robertowi wyrwał się okrzyk zdumienia.

- Tu jest napisane, że Wilhelm w dniu dwudziestych piątych urodzin miał przejąć firmę. Przez jego śmierć nie doszło jednak do tego.

- Kto zajął jego miejsce? - spytałam zaciekawiona.

- Tu wprawdzie tego nie ma - odparł - ale myślę, że jego młodszy brat, mój dziadek. Na początku lat osiemdziesiątych przejął po nim firmę mój ojciec.

Pojawił się przede mną portret wysokiego, starszego mężczyzny o lodowoszarych oczach, który tak nieuprzejmie potraktował mnie na tarasie willi.

- A więc twój dziadek skorzystał na śmierci Wilhelma - zastanawiałam się na głos.

Nie powinnam była tego robić, ponieważ Robert natychmiast na mnie naskoczył.

- Co rozumiesz pod pojęciem „skorzystał”? Nie chcesz chyba zasugerować, że dziadek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Wilhelma?! Spełnił jedynie swój obowiązek i zajął to miejsce po śmierci brata.

Na dziadka, tego już teraz byłam pewna, Robert nie da powiedzieć złego słowa. Przypomniałam sobie, że natychmiast wyczułam szczególną więź między nimi, gdy podczas naszej wizyty stali obok siebie na tarasie willi.

Przekartkowaliśmy jeszcze kilka roczników, ale w żadnym nie znaleźliśmy dokładnej przyczyny śmierci Wilhelma, a ponieważ zrobiło się już późno, postanowiliśmy zakończyć dziś szukanie.

- Przykro mi, że zawiodłem twoje romantyczne oczekiwania - powiedział Robert, kiedy schodziliśmy szerokimi schodami. - Najwyraźniej jednak niewiele wynika z historii naszej rodziny. Chyba że my dorzucimy do niej romantyczny akcent!

Mówiąc to, spojrzał na mnie wyjątkowo pożądliwie.

- Hm, no nie wiem - pohamowałam go. - U cioci - babci i dziadka mielibyśmy dość marne szanse!

- To jest ryzyko! - uśmiechnął się Robert. - Z tobą podjąłbym je w każdej chwili!

Opuściliśmy właśnie budynek reprezentacyjny i schodziliśmy po schodach na plac przed nim, gdy na podjazd wjechał luksusowy samochód. Zatrzymaliśmy się oboje.

- Merde! - wymknęło się Robertowi. - To samochód cioci Luisy.

Starsza pani już z niego wysiadała. Była niemniej zdziwiona niż my. Oczywiście natychmiast mnie poznała i zwracając się do Roberta, spytała z lekkim rozdrażnieniem:

- Czego tu szukacie oboje?

Miałam nadzieję, że przyjdzie mu do głowy jakaś dobra wymówka.

On jednak nawet nie próbował niczego zmyślać. Przypuszczalnie chciał zostawić sprawy własnemu biegowi.

- Oglądaliśmy galerię przodków. Moja przyjaciółka bardzo interesuje się historią naszej rodziny - i na dokładkę rzucił: - W szczególności twoim bratem Wilhelmem i jego wczesną śmiercią.

Wydawało mi się, czy też ciocia Luisa zbladła o ton? Posłała mi przenikliwie spojrzenie, następnie zwróciła się do Roberta:

- Dziadek miał rację! Twoja przyjaciółka nie wyjdzie na dobre temu domowi. - Popatrzyła na mnie z dezaprobatą. - I tobie najwyraźniej też nie! Wyprowadź ją! Nie życzę sobie, żeby choć raz przestąpiła próg naszego domu albo firmy! Czy to jasne?

Robert pociągnął mnie do swojego samochodu i powiedział porywczo:

- Najlepiej mnie też wyrzucić razem z nią!

I gdy siedziałam w samochodzie, a on ruszał z piskiem opon, zastanawiałam się, jakiego trupa w szafie miała rodzina Sunderburgów.

Uff, byłam szczęśliwa, kiedy wreszcie dotarłam cało i zdrowo do domu! Ale to było przeżycie! A Robert jednak

potraktował całą sprawę zbyt nerwowo. Mimo to jego reakcja na obcesowe potraktowanie mnie przez ciocię - babcię zrobiła na mnie wrażenie. Naprawdę coś dla mnie ryzykował!

Usiadłam do zadań domowych, myślami jednak byłam zupełnie gdzieś indziej.

Gdy mama zawołała mnie na kolację, byłam wykończona i kompletnie nierozmowna. Naturalnie od razu rzuciło jej się to w oczy.

- Wyglądasz na zmęczoną, dziecko - stwierdziła. - Miałaś taki ciężki dzień? Nie za bardzo przejmujesz się tym żeglowaniem?

- Nie byłam na żaglach - poprawiłam ją. - Byliśmy z Robertem w jego firmie i obejrzałam galerię przodków Sunderburgów. Całe mnóstwo portretów olejnych, ale ciekawe.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziała mama, patrząc tak, jakby już mnie widziała wśród tych portretów.

Pozostawiłam ją z tą iluzją i poszłam się położyć.

Przed snem przejrzałam jeszcze książki o duchach, nie potrafiłam jednak skoncentrować się na tym, co czytałam.

Przez cały czas zastanawiałam się, dlaczego ciocia Luisa zareagowała tak gwałtownie na imię Wilhelma.

Coś tam się nie zgadzało! Dlaczego z jego śmierci robi się aż taką tajemnicę? Na jaką zagadkową chorobę cierpiał? Robert wspominał o depresji.

Ale co to może znaczyć? Czy zmarł może w szpitalu dla obłąkanych? Byłby to przekonujący powód, dlaczego unikano tego tematu. Z drugiej strony w dzisiejszych czasach to nie było już tabu. Nie umiałam rozgryźć tej sprawy. Wreszcie zasnęłam, nie przerywając rozmyślań.

Kiedy się obudziłam, światło było zgaszone. W blasku księżycy, który wdzierał się do mojego pokoju, zobaczyłam na

stoliku szklankę mleka i obrane, pokrojone jabłko na talerzyku.

Na pewno postawiła je tu mama. Nie miałam jednak apetytu.

Sięgnęłam po komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Wpół do dwunastej, prawie północ. Włączyłam światło, upiłam łyk mleka i wzięłam książkę o zjawach na cmentarzach angielskich. Czy na cmentarzu św. Magnusa naprawdę widziałam ducha, czy raczej była to halucynacja? Czy napięte nerwy zrobiły mi taki żart, że w kilku niewinnych smugach mgły dopatrzyłam się postaci zmarłej? Czy dziewczyna zjawa naprawdę była jedynie urojeniem?

Dlaczego nieznajoma akurat mnie miała się ukazać i dlaczego właśnie na grobie Wilhelma?

Przerzuciłam kilka kartek w książce, aż doszłam do miejsca ze zdjęciami rzekomych duchów. Nie mogłam zaprzeczyć, że zarysy bladych bądź fosforyzujących postaci były bardzo podobne do tego, co mnie tak wystraszyło.

Przeważnie spowijał je zwiewny welon, rzadko można się było dopatrzeć lekko wykrzywionej twarzy. Spróbowałam sobie dokładnie przypomnieć. Czy widziałam twarz? Nie byłam w stanie odpowiedzieć na to jednoznacznie. Mimo to skąd byłam taka pewna, że zjawa to nieznana dziewczyna? Czy przypadkiem nie było to wyłącznie myślenie życzeniowe?

A jednak to czułam, pomyślałam rozpaczliwie. Z całą pewnością czułam i... ogarnęło mnie to samo zimno, które dało mi się we znaki już wcześniej, przy zarośniętym bluszczem grobie.

Nie chciałam więcej o tym rozmyślać, ponieważ nie zamierzałam jeszcze raz przeżywać śmiertelnego strachu, jaki poczułam na widok zjawy.

Odsunęłam więc myśl o niej jak najdalej i spróbowałam przeczytać kilka zdań z książki. Może w nadziei znalezienia

dowodu na to, że te wszystkie duchy i zjawy były jedynie produktami ludzkiej wyobraźni.

Moje nadzieje okazały się próżne. Autor był zatwardziałym spirytualistą, który miał tylko jeden cel: udowodnić na podstawie tej książki, że zmarli w każdej chwili mogą pokazać się żywym jako duchy. Wprawdzie nie w swojej naturalnej postaci, ale jako ciała astralne, ulotne jak mgła i delikatne, w których mogą istnieć przez krótki czas pomiędzy światem żywych i zmarłych. Potrzebne było jedynie odpowiednie medium.

Zastanawiałam się, wciąż czując dreszcze na plecach, czy mogłabym się okazać odpowiednim medium, kiedy zwróciłam szczególną uwagę na jedno miejsce w książce.

W tym fragmencie chodziło o nieszczęśliwe dusze, które nie mogły dostać się w zaświaty, ponieważ wyrządzona im krzywda wciąż trzymała je po tej stronie. Może się więc zdarzyć, że dojdzie do przemieszania się pól świadomości osoby żyjącej i zmarłej. Tam, gdzie zmarli nie mogą oderwać się od świata żywych, dochodzi do zjawisk spirytystycznych jak pojawiania się duchów i widm. Zmarły wciąż nie jest gotowy, żeby opuścić ten świat, ponieważ musi coś jeszcze załatwić.

Upiłam łyk mleka.

Czy to możliwe, że nieznana dziewczyna była jedną z takich nieszczęśliwych dusz, chciała zwrócić uwagę na bezkarnie poczynione przestępstwo albo należało jej się zadośćuczynienie za jakąś krzywdę? Czy to możliwe, że ta dusza chciała przeze mnie uzyskać wybawienie i to dlatego przytrafiały mi się te wszystkie dziwne rzeczy?

Co za przerażająca myśl! Zatrzasnęłam książkę.

- To wszystko to zwyczajna bujda na resorach - powiedziałam na głos. - Tylko zarabiają na zabobonach! W rzeczywistości nic takiego nie istnieje.



## Rozdział 9

### Pusty grób

Następnego ranka obudziłam się kompletnie rozbita. Na samą myśl, że muszę iść do szkoły, poczułam ucisk w brzuchu. Bolała mnie każda kosteczka i mięśnie, jakbym całą noc spędziła w izbie tortur w towarzystwie średniowiecznego kata. Była to myśl, która idealnie pasowała do moich szalonych snów. Męczyło mnie, że ktoś z zaświatów chce prawdopodobnie nawiązać ze mną kontakt.

Kiedy mama zajrzała do pokoju, żeby mnie obudzić, naciągnęłam kołdrę na głowę i zanurzyłam się pod miękkim puchem.

- Co się dzieje, dziecko? - spytała zatroskana mama. - Źle się czujesz? Nie zajrzałaś do nas wczoraj wieczorem, jabłka też nie zjadłaś!

Wystawiłam głowę zza pościelowej barykady i powiedziałam zbolalym głosem:

- Już wczoraj nie czułam się dobrze. Chyba będę miała gripę.

- Przy takiej pięknej pogodzie? Byłoby szkoda. Zrobić ci herbatkę na przeziębienie?

Z wdzięcznością pokiwałam głową.

- Mogę dziś zostać w domu?

Mama obiecała zadzwonić do szkoły i usprawiedliwić moją nieobecność.

Po wypiciu herbaty zapadłam w płytką drzemkę.

Około wpół do dziesiątej obudziła mnie komórka, na którą przyszedł SMS. Była to wiadomość od Leny.

Co ci jest? Mam wpaść cię odwiedzić? Buziaki, Lena

To był znakomity pomysł, dlatego natychmiast jej odpisałam:

Lekka grypa, ale nie tak źle. Przynieś mielone mięso, to ugotujemy spaghetti!

Conny

Lena przystała na propozycję.

Czułam się teraz już trochę lepiej. Włączyłam telewizor i zaczęłam przeskakiwać programy z przedpołudniowymi talk - showami. Ukradkiem zerkałam na książki o duchach, nie odważyłam się jednak po tym, co wczoraj przeczytałam, sięgnąć po którąś z nich.

Próbowałyśmy właśnie z Leną sos boloński, gdy z mojej komórki dobiegła melodia Dla Elizy.

- Słucham? - odebrałam. To był Robert.

- Chciałem spytać, czy przyjdiesz dziś do klubu jachtowego.

Lena spojrzała na mnie z ciekawością. Zasłoniłam dłonią telefon i szepnęłam: „Robert!”. Następnie pokręciłam głową i odpowiedziałam mu:

- Niestety, jestem chora. Dziś nic z tego nie będzie, ale Lena na pewno przyjdzie.

Uśmiechnęłam się do przyjaciółki, ta jednak popukała się w czoło.

Robert nie odpuszczał.

- Nie masz też ochoty na odrobinę badań genealogicznych? Znalazłem coś interesującego, co chętnie bym ci pokazał.

- Niestety. Będzie lepiej, jeśli zostanę jeden dzień w łóżku. Wtedy szybciej wrócę do formy.

- W takim razie wszystkiego dobrego - powiedział. - Bez ciebie to popołudnie będzie nudne.

Kiedy skończyłam rozmowę, natychmiast zażądałam od Leny wyjaśnień.

- Co się z tobą dzieje? Nie idziesz dziś na żagle?

- Idę, ale to przecież Roberta nie interesuje. Jest zakręcony na twoim punkcie.

Wcale nie byłam z tego szczególnie zadowolona.

- Tak bardzo rzuca się to w oczy? - spytałam ostrożnie, ponieważ poczułam się lekko speszona.

Lena zachichotała.

- A czego się spodziewasz po przedwczorajszym, romantycznym rejsie?! Każdy was widział na jego jachcie, jak siedzieliście objęci!

O rany!

- Przecież każdy zauważył, że dobiera się do ciebie jak kot do miseczki mleka!

- Aha i dlatego dałaś mu ostatnio numer mojej komórki! - stwierdziłam. - To dobrze pasuje do twojej koncepcji swatania! Zawsze chciałaś mnie połączyć z jakimś żeglarzem. Tylko dlatego, żebyś nie musiała wypływać sama!

Lena popatrzyła z poczuciem winy, natychmiast jednak spostrzegła, że żartowałam. I przyznała bez ogródek:

- Tak, dałam mu twój numer, ale nie bez powodu. Powiedział, że pokłóciliście się i on chciał cię przeprosić. Nie powinnam była tego zrobić?

- Już w porządku - pocieszyłam ją i wybuchnęłam śmiechem. - Miałaś przecież dobre zamiary. Poza tym to naprawdę fajnie, że obie mamy chłopaków, którzy potrafią żeglować. Rejs po Bałtyku na pewno będzie odjazdowy!

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powinnam jej powiedzieć o wyznaniu miłości Roberta, postanowiłam jednak zachować to dla siebie. Kto wie, czy rzeczywiście mówił poważnie, ostatecznie prawie się nie znaliśmy. Poza tym czasami miewał dziwne poczucie humoru.

Kiedy zjadłyśmy, Lena podała mi jeszcze, co mieliśmy zadane, i się pożegnałyśmy.

- Pozdrowić Roberta od ciebie? - zaczęła mnie jeszcze, wskakując przed drzwiami na rower.

- Ależ oczywiście, zawsze! Z buziaczkiem! -  
uśmiechnęłam się. - I przeproś Nilsa za moją nieobecność, do egzaminu na pewno będę już w formie.

Ledwie Lena odjechała, przed drzwiami stanął Yannik.

Poczułam się dość nieswojo, ponieważ trzymał w dłoni bukietik konwalii. Z okazji odwiedzin u chorej przejechał nawet włosy żelem.

W obliczu takich starań poczułam się w swoim starym dresie lekko nie na miejscu.

Mimo to powiedziałam:

- Ehe, wejdź do środka. To bardzo miło, że mnie odwiedzasz.

Ledwie jednak pozbył się kwiatów, okazało się, że jego wizyta była mniej lub bardziej służbowa.

- Słuchaj, w poniedziałek musimy oddać sprawozdania z projektu, pomyślałem więc, że leżąc w łóżku nie masz co robić i mogłabyś przeczytać, co do tej pory napisałem.

Spojrzałam na niego badawczo. Mówił poważnie, czy tylko posłużyło mu to za pretekst do odwiedzin?

W jego twarzy nie znalazłam jednak żadnej odpowiedzi. Sprawiał wrażenie jak zwykle chętnego do pracy.

Wzięłam kartki, które mi podał, i obiecałam przeczytać je gruntownie oraz uzupełnić własnymi uwagami. Uśmiechnęłam się w duchu. Czy zmieści się to w jego kategoriach, jeśli dopiszę dziwne przeżycia wokół grobu Wilhelma i porośniętego bluszczem kamienia?

- Doszłaś już do siebie po tym szoku? - spytał wreszcie współczująco.

Uśmiechnęłam się do niego, ponieważ mimo wszystko wydało mi się to sympatyczne, że tak się o mnie troszczył.

- Już w porządku. Naprawdę chcesz dziś pójść tam sam? Z powodu sowy?

Istotnie byłam lekko zaniepokojona. Ten cmentarz nie wydawał mi się całkiem bezpieczny. Po tym wszystkim, co wyczytałam w książkach, obawiałam się nawet, że duchy zmarłych nie mogły zaznać spokoju przez jakieś przerażające przestępstwo, nieodpokutowany czyn. I naprawdę nie mogłam wykluczyć, że nieznajoma zmarła próbowała mną zawładnąć! Wolałam nie myśleć, co straszego mogłoby się wydarzyć, gdyby jej się udało!

Może rzeczywiście byłam trochę zmęczona i z tego powodu przewrażliwiona, ponieważ mimowolnie wyrwało mi się:

- Nie idź tam sam!

Yannik popatrzył na mnie zdumiony.

- Ale ja się nie boję sów - powiedział.

- Duchów też nie? - spytałam cicho. Posłał mi bardzo wymowne spojrzenie.

Uważa mnie za całkowicie stukniętą, pomyślałam podłamana. Nigdy nie zdołam mu tego wyjaśnić. Skoro jednak i tak wybierał się na cmentarz, to mogłam go chyba o coś poprosić.

- Mógłbyś pojechać do pana Burgsmullera i spytać go o ten kamień nagrobny obrośnięty bluszczem? Bardzo chciałabym wiedzieć, kim jest ta dziewczyna i czy napis na jej grobie rzeczywiście kazał wykuć Wilhelm von Sunderburg. - I dodałam wyjaśniająco: - Być może kryje się za tym jakaś romantyczna historia i mogłabym ją opisać w weekendowym wydaniu naszej gazety lokalnej. Ludzie lubią czytać takie rzeczy!

Nawet Yannik to chwycił.

- To niezły pomysł - powiedział. - Weźmiesz mnie jako współautora, jeśli załatwię ci te informacje?

Zgodziłam się wspaniałomyślnie. I dzięki temu miałam go z głowy, nawet w kwestii projektu z bioli. Pomysł z

napisaniem artykułu tak go zafascynował, że natychmiast pozbył się wszelkich wątpliwości dotyczących mojego zainteresowania zmarłymi z cmentarza św. Magnusa. Zgłosił nawet gotowość pójścia ze mną w następnych dniach do archiwum miejskiego, aby poszperać w dokumentach na temat śmierci Wilhelma von Sunderburga.

Wstydziałam się wprowadzić troszeczkę za to, że tak nieciekawo go skusiłam, ale jego pomoc na pewno przyda mi się w poszukiwaniach. Jeśli przypadkiem uzbiera nam się materiał na ciekawy artykuł, to rzeczywiście mogłabym go zaproponować gazecie. Bądź co bądź rzeczy, do których zabierał się Yannik, zawsze miały ręce i nogi.

Tak samo było i teraz. Minęła zaledwie godzina, a już do mnie dzwonił.

- Lepiej się trzymaj - powiedział. - W drodze powrotnej od ciebie zajrzałem do administracji cmentarza. Burgsmullera wprowadzić nie było, ale zastałem jakąś jego pracownicę. Pogadałem z nią trochę, a potem zajrzeliśmy do rejestru i wyobraź sobie, co w nim odkryłem...

Ledwie nad sobą panowałam z podniecenia.

- Co? No powiedz wreszcie!

- Grób jest pusty!

- Co? Jak? Grób jest pusty? Jaki grób?

- Ten z bluszczem. Nieznanej dziewczyny. Inaczej mówiąc, nie jest to grób. Ten głaz to tylko kamień pamiątkowy. Pod nim nikt nie jest pogrzebany!

Musiałam usiąść. Moja cała teoria legła w gruzach. Skoro nie było zmarłej, to nie mógł pojawiać się jej duch. Czyżbym więc to wszystko zmyśliła?

Yannik tymczasem mówił dalej.

- ...a wiesz, kto kazał położyć tam ten kamień?

- Wilhelm von Sunderburg?

- Właśnie! Trafiłaś w dziesiątkę! W archiwum zachowała się jeszcze kopia rachunku za kamień i dokument nabycia długotrwałych praw do miejsca pochówku, które nim nie jest. Możesz też zgadnąć, kto dziś płaci za to rachunki?

- Powiesz mi?

- Friedrich von Sunderburg! To znaczy, że miałaś rację: między tajemniczą dziewczyną a rodziną Sunderburgów rzeczywiście musiał istnieć jakiś związek.

Byłam pod wrażeniem.

- Jak ci się udało dowiedzieć tego wszystkiego tak szybko? Zastanawiałam się nad tym od kilku dni, a ty zwyczajnie wyłożyłeś fakty na stół.

Yannik zachował skromność.

- To przecież był twój pomysł, żeby spytać w administracji cmentarza. Gdybyś nie była chora, sama byś to zrobiła i dowiedziała się tego samego co ja. - Następnie dorzucił z prawdziwym zachwytem. - Chyba naprawdę natrafiłaś na ciekawą historię. Lokalną gazetę na pewno powinna zainteresować!

Na jedno pytanie Yannik nie zdobył odpowiedzi.

- Czy teraz już wiesz, kim była ta dziewczyna? - Nie, niestety nie wiem. Nie znalazłem najmniejszej informacji. Jasne, prawdziwy pogrzeb się nie odbył.

Byłam rozczarowana. Wszystko wydało się nagle jeszcze bardziej zagadkowe.

- Ale na cmentarzu nie stawia się przecież kamienia pamiątkowego ot tak sobie, nie wiedząc, dla kogo jest!

- Wtedy na pewno jeszcze wiedziano. Być może dlatego nikt nie uważał za stosowne, żeby to odnotować.

- Albo chciano to zatuszować.

- Ale wymyśliłaś!

Jednak Yannik połknął haczyk. Bądź co bądź nie był to jakiś mały kamień tylko całkiem spory pomnik, a znajdująca

się na nim marmurowa płaskorzeźba przypuszczalnie miała wartość artystyczną. Trudno było sobie wyobrazić, że złożenie takiego głazu umknęło uwagi opinii publicznej.

- Może w ówczesnych gazetach napisano coś o ufundowaniu kamienia - zastanawiał się Yannik.

- To bardzo możliwe - natychmiast podchwyciłam ten pomysł. - Wilhelm von Sunderburg należał przecież do prominentów w mieście. Jeśli ktoś kazał wznieść pomnik na cmentarzu, to na pewno zainteresowała się tym prasa. Gdy tylko poczuję się lepiej, wybierzemy się do archiwum miejskiego. I tak chciałam tam sprawdzić, czy publikowano coś na temat śmierci Wilhelma.

Tym razem Yannik zgodził się z jednym małym zastrzeżeniem.

- OK, możemy to zrobić, gdy poczujesz się lepiej. Ale tylko pod warunkiem, że wcześniej dokładnie przeczytasz sprawozdanie z bioli.

Obiecałam mu to na wszystkie świętości.

Co za szczęśliwy rozwój sytuacji! Wszystko jedno, kujon czy nie, w Yanniku miałam teraz rozsądnego partnera, który z pewnością mógł mi się bardzo przydać. Ponadto nikt nie będzie mu przeszkadzał w prowadzeniu śledztwa, a już na pewno nie zdziwaczała rodzinka.

Westchnęłam z ulgą. Nareszcie nie musiałam sama męczyć się z tajemnicą nieznajomej dziewczyny Trochę mnie dziwiło, że z pomocą przyszedł mi akurat Yannik, którego dotychczas miałam za nudnego kujona, ponieważ ciągle miał w głowie projekt z bioli.

Nekrofilia, przywołałam w pamięci naszą kłótnię sprzed kilku dni. Może to wcale nie takie złe, mieć u boku tak zdolnego faceta, bo kto wie, co czekało w czeluściach archiwum miejskiego na odkrycie?



Przeczytałam notatki Yannika do pracy z biologii i uznałam, że wszystko opracował bardzo szczegółowo i w ładnym stylu. Niewiele było do uzupełnienia. Zadowolona ułożyłam się pod kołdrą i zamknęłam oczy

Po raz pierwszy od dawna przespałam znów całą noc bez budzenia się i następnego ranka czułam się na tyle wypoczęta, aby pójść do szkoły.

## Rozdział 10

### Nowe odkrycia

Tymczasem także Lena uwierzyła, że trafiłam na trop niewymownie romantycznej i tajemniczej historii. Zaraziła się nią wręcz, więc kiedy opowiedziałam jej o odwiedzinach Yannika, spytała od razu, czy mogłaby wybrać się z nami do archiwum.

- Sześcioro oczu dojrzy więcej niż czworo! - zaproponowała swoją pomoc.

Uznałam, że to dobry pomysł, Yannik natomiast nie wydawał się zachwycony.

- Słuchaj, założę się, że on też się w tobie zabujał i chce być z tobą sam na sam. - Lena natychmiast znalazła przekonujący powód jego powściągliwości. I dorzuciła ostrzegawczo: - Żeby tylko Robert niczego nie zauważył!

- Co ty wymyślasz! - przystopowałam ją. - Yannik ma co innego w głowie niż... Chociaż, wspomniałam ci może, że wczoraj przyniósł mi bukiet konwalii?

Lena była zachwycona, ponieważ potwierdzało to tylko jej teorię.

- Widzisz, od razu zauważyłam. Co o nim myślisz?

Zerknęłam w róg dziedzińca szkolnego, w którym zawsze zbierali się chłopcy. Yannik stał tam z kumplami i śmiał się.

- Hm, nie wiem... właściwie zupełnie nie jest w moim typie. Wolę raczej ciemnowłosych... hm... no i jest kujonem...

Lena uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jest po prostu troszkę inteligentniejszy niż większość, a to z kolei nie jest wada. Jeśli zaś chodzi o ciemnowłosych... myślałaś może o Robercie von Sunderburgu? Taak, trudno dokonać wyboru.

Cała ona!

Dzwonek obwieścił koniec przerwy, tak że mogłam oszczędzić sobie odpowiedzi.

Chyba z trudem przyszłoby mi przekonanie Leny, że rzeczywiście porównałam właśnie Yannika z Robertem i zestawienie cech czysto zewnętrznych wypadło zdecydowanie na korzyść Roberta.

Yannik wyglądał całkiem nieźle, ale miał kręcone włosy i znacznie za długi nos. Jeśli chodzi o jego ciuchy, to już dawno mógłby wymienić obcisłe džinsy na modne spodnie baggy. A tak wyglądał na jeszcze bardziej chudego niż w rzeczywistości był.

Kiedy wchodziłam do budynku szkoły, przytrzymał mi drzwi i uśmiechnął się konspiratorsko.

Miły to on jest, pomyślałam. Jednak to nie jest powód, żeby od razu coś z nim zaczynać.

Po szkole Lena przypomniała sobie o wizycie u dentysty, dlatego do archiwum miejskiego poszłam jednak tylko z Yannikiem, co wyraźnie go ucieszyło. Och, och!

Archiwum znajdowało się blisko szkoły w historycznym budynku tuż przy dawnych murach miejskich.

W przestronnej czytelnicy panował lekki zaduch, co było zrozumiałe, ponieważ na sięgających aż pod sufit i ciągnących się wzdłuż ścian regałach stały tysiące pożółkłych segregatorów i teczek.

Kobieta w wypożyczalni przyglądała nam się najpierw dość sceptycznie, ale kiedy Yannik przejął prowadzenie rozmowy i rzucił kilka pochwał na temat bogatego wyboru dokumentacji, jej nieufność wyraźnie stopniała.

Wszystkie gazety z lat czterdziestych znajdowały się na mikrofilmach, które można było odczytywać w specjalnym urządzeniu z małym ekranem.

- Od którego roku zaczniemy? - spytał Yannik.

- Najlepiej od roku śmierci Wilhelma, na pewno pojawił się nekrolog w prasie.

- Wybraliście sobie trudne czasy - podsumowała archiwistka. - Minął zaledwie rok po drugiej wojnie światowej, tutaj rządziło jeszcze wojsko. Ono rozdawało licencje na gazety. Dokumenty z tamtego okresu są dość skąpe.

Mieliśmy jednak szczęście. Edycja gazety, mimo że w niskim nakładzie, została właśnie wznowiona.

Pracownica archiwum zaopatrzyła nas w odpowiedni film, poinstruowała, jak go zakładać, i z zachęcającym uśmiechem zostawiła nas samych.

Na początku filmu znajdowały się wydania specjalne, składające się najczęściej z jednej lub dwóch stron o charakterze proklamacyjnym.

Informowano na przykład, gdzie rozdzielane były kartki żywnościowe, kiedy wydawano posiłki szkolne i w jakim terminie planowano wybory do rad gminnych. Prawie do każdego wydania dołączona była długa lista poległych i ogłoszenia o poszukiwaniu zaginionych. Rzadko trafiały się ogłoszenia o narodzinach lub nekrologi.

- Maj - powiedziała. - Przejdź do maja 1946 roku. Yannik przewinął film. Zatrzymał się w kwietniu. Jakieś zdjęcie zwróciło jego uwagę.

- To przypuszczalnie zdjęcie pociągu z powracającymi z Rosji - stwierdziłam. - Wyglądają żałośnie. Czy byli w niewoli?

Yannik również przyglądał się fotografii w zamyśleniu.

- Przyjechali z Syberii, tak tu napisali. To miał być na razie ostatni pociąg. Rosjanie nie chcieli wydać kolejnych więźniów, nie dostając niczego w zamian.

Przyjrzałam się zdjęciu dokładniej.

- Wobec tego Wilhelm von Sunderburg musiał przyjechać tym właśnie pociągiem. Robert opowiadał, że wrócił z Rosji wiosną 1946 roku.

- Był oficerem? - spytał Yannik. - Gdybyśmy to wiedzieli, moglibyśmy rozpoznać go po mundurze.

- Nie mam pojęcia - odparłam i patrząc na obdarte postaci, odniosłam wrażenie, że gdybyśmy nawet wiedzieli, to niewiele by nam to pomogło.

- Przesuń dalej - ponagliłam Yannika, ponieważ nie mogłam dłużej znieść nędzy na zdjęciu. Ogarnęło mnie tak dziwnie bolesne uczucie, że nagle nabrałam całkowitej pewności, iż jedną z tych osób na zdjęciu był Wilhelm.

- Ten wysoki blondyn w długim wojskowym płaszczu, to może być on - zastanawiałam się na głos. - Dostrzegam pewne podobieństwo z młodym człowiekiem na portrecie wiszącym w galerii Sunderburgów.

A przede wszystkim ten sam smutek w jego spojrzeniu, który umocnił mnie w przekonaniu, że to rzeczywiście on.

- Kiedy zmarł? - zapytał Yannik.

- 23 maja.

- Cholera! - wykrztusił, przewijając film do przodu i do tyłu.

- Co jest?

- Brakuje prawie dwóch tygodni!

- Cooo? To niemożliwe! - Rozczarowana wpatrywałam się w ekran, na którym Yannik jeszcze raz powoli przewijał film.

Rzeczywiście, ostatni numer gazety był z 17, a następny z 30 maja.

- To prawdopodobne - powiedziała archiwistka, kiedy Yannik spytał ją o brakujące numery - Gazety wychodziły wtedy nieregularnie. Poza tym istniała cenzura prasowa i czasami rząd wojskowy wycofywał cały nakład.

Sfrustrowani wróciliśmy do czytnika i usiedliśmy przed ekranem.

- Musiało zabraknąć akurat tego okresu! - powiedziałam zdenerwowana. - Co teraz zrobimy?

Pogrążony w myślach Yannik bawił się przyciskiem i powoli przesuwiał film dalej.

Doszedł już do końca czerwca, gdy nagle coś zauważyłam.

- Stop! Zatrzymaj!

Yannik też dostrzegł nekrolog zajmujący prawie pół strony i natychmiast zareagował. Delikatnie cofnął film.

- Możemy to wydrukować? - spytałam, a chwilę później trzymałam już w dłoni kopię nekrologu Wilhelma von Sunderburga.

Z żalem zawiadamiamy o śmierci naszego syna, brata i wnuka

Wilhelma von Sonderburga

23 maja 1922 - 23 maja 1946

Szcześnie powróciwszy z niewoli, padł ofiarą tragicznego wypadku.

Na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

W imieniu rodziny

Friedrich Wilhelm von Sunderburg

Henriette von Sunderburg, z domu von Alvensleben

Friedrich i Luisa

Pogrzeb odbędzie się w kręgu najbliższej rodziny.

- Naprawdę nic o tym nie wiesz? Jaki tragiczny wypadek się wydarzył? - spytałam Roberta. - Dziś pisze się takie rzeczy przeważnie przy wypadkach samochodowych. Czy tak mógł zginąć? A może spadł z konia?

Siedziałam z nim pod hangarem i smarowałam kołowrotki smarem do maszyn, żeby je zabezpieczyć przed słoną wodą.

Zbliżał się rejs po Bałtyku i powoli trzeba było się do niego przygotować.

Robert potrząsnął głową.

- Przysięgam - powiedział. - Ojciec powiedział mi tylko, że był chory. Psychiczenie...

- Już to kiedyś mówiłeś, ale co to znaczy: chory psychiczenie?

- Nie mam pojęcia. Depresja czy coś takiego... Po swoich przeżyciach wojennych popadł pewnie w melancholię.

- Ale nikt nie umiera nagle na melancholię! - zastanawiałam się dalej. - Chyba że... Myślisz, że mógł popełnić samobójstwo? - Samobójstwo na skutek choroby duszy było jakimś prawdopodobnym wyjaśnieniem.

- Ależ Conny! - W jego głosie zabrzmiało lekkie oburzenie. - Naprawdę nic o tym nie wiem! Spytam jednak jeszcze raz ciocię Luisę, a nawet dziadka osobiście, jeśli tylko mi obiecasz, że wybierzesz się ze mną na krótki wieczorny rejs.

Zerknęłam na Lenę, która razem z Nilsem uzupełniała ubytki w farbie na burcie którejs z klubowych żaglówek.

- OK - powiedziałam. - Możemy się wybrać, ale naprawdę musisz się dowiedzieć, co stało się z Wilhelmem. Chciałabym napisać o tym artykuł do gazety.

- Co byś chciała? - Robert popatrzył na mnie zdumiony, a ja natychmiast pojęłam, że popełniłam błąd.

- Ach, nic, nic - machnęłam ręką. - To była tylko taka spontaniczna myśl.

- Lepiej wybij ją sobie natychmiast z głowy. Prasie nie dostarczam żadnych informacji - odparł Robert. - Dziadkowi nie spodobałoby się to ani trochę. Stare dzieje rodzinne, które mogłyby spotkać się z niezrozumieniem, nie mają czego szukać w prasie tuż przed wejściem firmy na giełdę. Obojętnie, czy są romantyczne, czy nie. - Spojrzał na mnie nieufnie. - To nienaturalne, że dziewczyna jak ty spędza czas na cmentarzach i w zatęchłych archiwach, rozgrzebując

historię kompletnie obcych ludzi. Czy to Yannik cię do tego namówił?

Pokręciłam głową. Jeszcze tego brakowało, żeby był bezpodstawnie zazdrosny o Yannika.

- Ja... uznałam to po prostu za ciekawe i romantyczne... - wyjąkałam.

Robert popatrzył na mnie intensywnie, a jego szare oczy, mimo uśmiechu, który igrał mu na wargach, pozostały dziwnie zimne.

- Cóż, skoro szukasz romantyczności... - powiedział - to chyba umiałbym temu zaradzić! - Odłożył kołowrotek i chwycił mnie za rękę.

Żeglowaliśmy prawie od godziny, kiedy słońce zaczęło powoli chylić się ku zachodowi i dzień żegnał się przepiękną purpurą nieba.

Siedzieliśmy na rufie. Trzymałam szot grota, a Robert ster. Przedni żagiel był spuszczone. Powoli i dostojnie płynęliśmy w stronę zachodzącego słońca.

Robert trzymał mnie w ramionach, a ja całkowicie poddałam się romantycznemu nastrojowi.

- Jesteś wyjątkową dziewczyną - szepnął ciepłym głosem.  
- Od razu to zauważyłem, kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz. Chciałbym zostać z tobą na zawsze.

- Mimo że twój dziadek mnie nie zaakceptował?

Zrobił łodzią lekki zwrot z wiatrem i zwinął grotżagiel. Staliśmy teraz niemal nieruchomo pośrodku jeziora.

Spontanicznie wziął moją twarz w dłonie i popatrzył mi głęboko w oczy. Tym razem jego spojrzenie było ciepłe i pełne miłości.

- Nie liczy się mój dziadek, tylko to, co do ciebie czuję. A to, Conny, jest bardzo dużo!

Przyciągnął moją twarz do swojej, z ogromną czułością pocałował mnie w usta i natychmiast mnie wypuścił.



- Już raz ci powiedziałem, że cię kocham. I jeżeli teraz to powtarzam, musisz mi uwierzyć, że to prawda.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu i patrzyliśmy na blednącą czerwień wieczoru. Kiedy całkiem znikła, zerwała się lekka bryza. Przeszedł mnie dreszcz. Robert zdjął sweter i szczelnie otulił nim moje ramiona.

- Włóż go, żebyś się nie przeziębiła. Musisz być w formie, skoro w przyszłym tygodniu mamy rejs po Bałtyku.

Wślizgnęłam się w sweter. Był gruby, ciepły i emanował zapachem delikatnych męskich perfum. Wciąż jeszcze nie mogłam pojąć, co właśnie się stało.

Robert wciągnął ponownie żagiel i odwrócił łódź z wiatrem. Zanim dopłynęliśmy do przystani, spojrzał na mnie jeszcze raz pytająco.

- Mogłabyś mnie choć trochę polubić? Mimo że jestem Sunderburgiem?

I powodowana nagłym uczuciem, że wszystko zostało ustalone z góry i zmierza prosto do celu, pokiwałam głową.

A w duchu uzupełniłam: ...nie mimo, tylko właśnie dlatego, że jesteś Sunderburgiem.

Lena zareagowała dość dziwnie, kiedy wracałyśmy z klubu do domu.

- Myślisz, że Robert ma naprawdę poważne zamiary? - spytała z niedowierzaniem. - Przypomnij sobie tylko, jak podczas naszej pierwszej wizyty potraktowała cię jego rodzina. Obawiam się, że tylko zawróci ci w głowie, a potem wróci do tego swojego internatu i zapomni o tobie.

Czy to możliwe, że była odrobinę zazdrosna, bo złowiłam tak fantastycznego faceta? Właściwie nie mieściło mi się to w głowie, miała przecież swojego Nilsa.

- Ale słuchaj, był absolutnie słodki, poza tym jest w moim typie. Dlaczego miałyby się we mnie nie zakochać tak samo jak

ja w nim? A jeśli chodzi o jego rodzinę, to jest mi ona totalnie obojętna

Jechałyśmy przez chwilę obok siebie w milczeniu. Chciałam wyjaśnić jej tę sprawę. Dlatego zatrzymałam się i usiadłam na ławce parkowej. Trochę to zaskoczyło Lenę, ale zaraz przysiadła się do mnie.

- Wiesz, co myślę? - zaczęłam. - Myślę, że wszystko zostało z góry ustalone. Po prostu za dużo tu przypadków. Myślę też, że natknęłam się na tę całą historię z Wilhelmem po to, żeby poznać Roberta. Bez niej być może nigdy by się mną nie zainteresował, a ja nim.

Lena w dalszym ciągu pozostawała sceptyczna.

- Nie gniewaj się na mnie, ale czy ty przypadkiem nie idealizujesz Roberta? Zakochanie jest OK, ale tę całą gadkę o przeznaczeniu uważam za szytą zbyt grubymi nićmi. Naprawdę martwię się o ciebie, Conny - Spojrzała na mnie z matczyną troską w brązowych oczach. - Uważam, że ten projekt cementarny zwyczajnie cię przeciążył. Powoli powinnaś zacząć odkładać do wszystko do akt i skoncentrować się na egzaminie żeglarskim. Zacerpnij trochę świeżego powietrza i zapomnij o stęchłych grobowcach z przeszłości! Ja też lubię od czasu do czasu pobawić się w detektywa, ale to, jak zabrałaś się do sprawy Sunderburgów, nie jest całkiem zdrowe!

Westchnęłam. Lena tego nie rozumiała. Po prostu nie mogłam zaprzestać poszukiwań teraz, kiedy byłam już tak blisko rozwiązania zagadki. Brakowało mi zaledwie kilku kawałków tej układanki. Paru z pewnością mógł dostarczyć mi Robert.

Już choćby dlatego kręciło mnie bycie z nim.

- Skoro tak chcę, to będę z Robertem - powiedziałam zdecydowanie. - Jest ku temu więcej niż tylko jeden powód!

## Rozdział 11

### Terror komórkowy

Przy końcu parku miejskiego rozstałyśmy się z Leną.

Zadzwęczała moja komórka, to był SMS. Zatrzymałam się i wyjęłam ją z kieszeni kurtki. Patrząc na wyświetlacz, zdrętwiałam.

Zostaw zmarłych w spokoju albo dosięgnie cię ponura zemsta!

Tego było za wiele jak na moje zszarpane nerwy. Zaczęłam tak mocno drżeć na całym ciele, że dalsza jazda stała się niemożliwa.

Znajdowałam się zaledwie kilka metrów od kościoła św. Jana. Po tym przeżyciu wydał mi się najbezpieczniejszym schronieniem. Pod wpływem impulsu odstawiłam rower pod ścianę i na miękkich nogach weszłam bocznymi drzwiami do nawy kościoła. Tuż przede mną stała figura Matki Boskiej, u stóp której płonęły świece.

Wrzuciłam monetę do skarbonki i trzęsącą się ręką podniosłam świeczkę, żeby ją zapalić. Było to coś w rodzaju pocieszenia. Mimowolnie pomyślałam w tym momencie o nieznannej dziewczynie i w chwili, w której płomyk przeskoczył na trzymaną przeze mnie świecę, ogarnęło mnie uczucie, jakby ktoś zawołał cicho „Constanze”. Odwróciłam się, lustrując nawę kościoła. Nikogo jednak nie zauważyłam. Byłam zupełnie sama. Popatrzyłam na płonącą świecę w dłoni, następnie postawiłam ją obok innych. Dla ciebie, nieznaną dziewczyno, pomyślałam przy tym, bez względu na to, jak miałaś na imię.

Gdy się odwróciłam, żeby wyjść z kościoła, znów mi się wydało, że słyszę swoje imię. Najpierw jak odległe wołanie, potem coraz bliżej i głośniejsze, aż wreszcie jakby wielokrotnie powtórzone przez echo i odbite od wysokich ścian budowli. Spanikowana wybiegłam na dwór.

Kiedy się trochę uspokoiłam, wskoczyłam na rower i ruszyłam do domu. Pedalując niepewnie w ciemnościach, zastanawiałam się, czy to możliwe, aby nieznana dziewczyna nosiła takie samo imię jak ja. Constanze!

Siedziałam przy biurku z zamiarem odrobienia kilku zadań domowych, gdy zadzwoniła komórka. Robert.

- Conny - zaczął - wygląda na to, że w swoich poszukiwaniach dotknęłaś naprawdę czułego punktu w historii mojej rodziny. Zagadnąłem o to w każdym razie ojca, ale on odesłał mnie do cioci Luisy. Spróbuję jeszcze raz zaaranżować z nią rozmowę. Mam też zamiar poprosić ją, żebyś mogła wziąć w niej udział. Chciałabyś?

Co za pytanie! Oczywiście, że bym chciała, chociaż nie miałam żadnych złudzeń co do tego, czy z cioci - babci da się coś więcej wycisnąć niż ostatnim razem.

- Dobrze - powiedział Robert po moim potwierdzeniu. - Zadzwonię do ciebie, gdy już się z nią umówię. O jedno jednak muszę cię prosić: potraktuj to z jak największą dyskrecją. Ojciec dał mi jasno do zrozumienia, że teraz musimy unikać jakichkolwiek plotek czy rozgłosu, wiesz, z powodu giełdy. To oznacza: zachowaj, proszę, swoje hobby wyłącznie dla siebie, a prasę trzymaj z daleka od naszej rodziny! Obiecujesz?

Milczałam skonsternowana. Co miała do ukrycia rodzina Sunderburgów, że tak bardzo bała się, aby nie wyszło to na światło dzienne?

Oczywiście podczas kolacji byłam nieobecna duchem i zaraz po niej wróciłam do pokoju, mrużąc jakieś kiepskie wymówki.

Sięgnęłam po książki o duchach i spirytualizmie, próbując znaleźć w nich wytłumaczenie ostatnich wydarzeń.

Po przeżyciu w kościele byłam bardziej niż kiedykolwiek przekonana, że zostałam wybrana przez los, aby wnieść

światło w ciemności otaczające historię Wilhelma i nieznaney dziewczyny zjawy Zaczęłam więc jeszcze raz sortować fakty, które dotąd udało nam się z Yannikiem zgromadzić.

Najpierw tak smutno wyglądający Wilhelm w mundurze Wehrmachtu na portrecie w galerii przodków. Szedł na front wschodni, gdzie najprawdopodobniej dostał się do niewoli i został zesłany na Sybir.

Przeżył i w 1946 r. wrócił z Rosji w transporcie repatriantów. Byłam pewna, że on był tym wysokim blondynem w płaszczu wojskowym, którego odkryłam na zdjęciu w gazecie. Wkrótce później, gdzieś między początkiem kwietnia a jego nagłą śmiercią pod koniec maja 1946 roku, musiał zlecić wykonanie kamienia pamiątkowego dla swojej ukochanej i złożenie go na cmentarzu w pobliżu kwatery rodzinnej Sunderburgów. Dlaczego jednak kamień był anonimowy? Dlaczego wykuto w nim tylko jego imię, a nie jej? Dlaczego nie znalazły się na nim choćby daty jej narodzin i śmierci?

Co było powodem, dla którego przyznawał się do swojej „jedynej miłości” tym pomnikiem, ale zataił przed światem imię ukochanej? Czy był to przypadkiem jakiś nieodpowiedni związek, na który rodzina patrzyła niechętnym okiem?

Z drugiej strony, dlaczego Friedrich von Sunderburg opłacał do dziś składki za miejsce, na którym leżał kamień? Czy nie byłoby prościej usunąć go, kiedy okres dzierżawy dobiegł końca? I na dodatek ta nagła i tajemnicza śmierć Wilhelma niedługo po powrocie do ojczyzny! Co to za nieszczęśliwy wypadek, splot tajemniczych okoliczności?

Mogłam zabierać się do tej sprawy, z której strony chciałam, i tak nie umiałam jej rozwikłać.

Moje spojrzenie zatrzymało się na książce Wiadomości z zaświatów. Nieodparcie przyciągała moją uwagę. Zastanawiałam się, czy znajdę w niej może wyjaśnienie

przerazającego SMS - a, który dostałam dziś w drodze do domu. Przekartkowałam ją, a później zadzwoniłam do Leny, aby opowiedzieć jej o zaskakującym rozwoju wydarzeń. Może ona znajdzie jakieś wyjaśnienie.

- To na pewno jakiś żartowniś! - skwitowała z przekonaniem w głosie.

- Ale kto? Kto mógł zrobić tak makabryczny żart?

- Nie wyświetlił się numer nadawcy? Spojrzałam jeszcze raz na komórkę i przeczytałam wszystko, co było widoczne na wyświetlaczu.

- Hm - mruknęła Lena. - Wygląda na to, że został wysłany z Internetu. Nigdy nie dojdiesz, kto był nadawcą.

- Czyli jesteś pewny, że ten SMS wysłał jakiś człowiek? - spytałam.

Lena zdziwiła się.

- Oczywiście, że człowiek. A może myślisz, że wysłał ci go wasz pies?

- Nabijasz się ze mnie? - Nie podjęłam jej żartu. - To mogła być wiadomość z zaświatów. - I zanim zdążyła mi odpowiedzieć, przysunęłam książkę i powiedziałam: - Mam tu całą książkę o dziwnych wiadomościach, których pochodzenia nikt nie potrafi wyjaśnić.

Przerzuciłam kilka kartek i przeczytałam na głos: Richard Gullup otrzymał SMS od swojego ojca, który wybrał się w kanadyjskie lasy na biwak i wędkowanie: Bądź zdrow, synu, zbliża się koniec. Kocham cię. Wszczął poszukiwania ojca i rzeczywiście go odnaleziono. Zasypała go lawina kamieni. Ciężko ranny był w śpiączce, ale jeszcze żył. Kiedy odzyskał przytomność, Richard zagadnął go o SMS, twierdząc, jak to dobrze, że ojciec zdążył go jeszcze wysłać, zanim go przysypało. Ojciec odparł na to... - przerwałam i powiedziałam: - Teraz się trzymaj, Lena... - i podnieconym

głosem czytałam dalej: - ...Ojciec odparł na to, że nie wysyłał żadnego SMS - a, ponieważ w ogóle nie ma komórki.

Lena milczała.

- I co? Co na to powiesz? W tej książce jest jeszcze dużo innych podobnych historii. Wszystkie opowiedziane przez naocznych świadków i potwierdzone przez więcej osób.

- Brzmi interesująco - odparła powoli Lena - mimo że nieco pokrętnie. Dlaczego mi to przeczytałaś?

- Ponieważ... cóż, ponieważ w ostatnim czasie przeżyłam mnóstwo dziwnych rzeczy, które trudno wyjaśnić tylko za pomocą ludzkiego rozumu. Poza tym mimo najszczerzych chęci nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby mi przysyłać SMS z pogrózkami.

Lena była dość sceptyczna.

- Aha, i dlatego uważasz, że ten SMS przyszedł z zaświatów, tak?

Zacząłam szukać wymijającej odpowiedzi. Takie twierdzenie rzeczywiście mogło się wydać dziwne. Mimo to...

- No cóż, to byłaby jakaś możliwość... Duchy mogą oddziaływać na każdą materię. Wcześniej pisały niewidzialną ręką na ścianach i tablicach, potem na elektrycznych maszynach do pisania, to dlaczego miałyby nie wpływać na komórki? Skoro duchy składają się z promieniowania, być może więc najłatwiej im właśnie przebiegunować po swojemu komórce.

Lena milczała. Najwyraźniej była bardzo zdumiona albo uważała mnie za stukniętą.

- Tylko nie przesadzaj - powiedziała wreszcie. - W tych książkach są same brednie. Jeżeli chcesz potraktować poważnie ten SMS, to rozejrzyj się za jego nadawcą z krwi i kości, ponieważ on chce cię przed czymś ostrzec - czy to w złych, czy w dobrych zamiarach. - I niczym Miss Marple we

własnej osobie spytała: - Jakiego zmarłego mógł mieć na myśli? Kogo masz zostawić w spokoju?

- Przypuszczalnie Wilhelma von Sunderburga i tę nieznaną dziewczynę. Innymi zmarłymi się nie zajmowałam.

- No właśnie - kontynuowała przesłuchanie. - A kto mógłby mieć interes w tym, abyś trzymała się od nich z daleka?

Wzruszyłam ramionami i milczałam.

- Co powiesz na Roberta? - zaproponowała Lena. - Tak go wkurzyłaś swoimi poszukiwaniami, że w ten sposób próbuje ci je obrzydzić. Naprawdę musi myśleć, że zadajesz się z nim tylko dlatego, aby dowiedzieć się jak najwięcej o jego rodzinie. To na pewno podkopuje jego dumę i poczucie własnej wartości.

Przedstawiła ten wniosek tak przekonująco, że uznałam go za jak najbardziej prawdopodobny. Mimo że właściwie nie spodziewałam się po Robercie podłej groźby po tak romantycznym rejsie wieczornym. Poza tym właśnie zaoferował mi dalszą pomoc w wyjaśnianiu sprawy.

- Nie, Lena - powiedziałam. - To na pewno nie jest Robert.

Kto jednak poza nim wchodziłby w rachubę? Lena też nie znała odpowiedzi. Postanowiłyśmy więc zająć się tym problemem następnego dnia w szkole i się rozłączyłyśmy.

Położyłam się na łóżku i przymknęłam oczy. Zasnęłam? Śniłam? Wydawało mi się, jakbym ponownie stała na tarasie Sunderburgów, a dziadek Roberta Friedrich przemawiał do mnie. Wyglądał jednak o wiele młodziej i wzięłabym go za Roberta, gdyby nie miał na sobie tak staroświeckiego garnituru.

Żeby tylko zrozumiała, co do mnie mówił!

Ze snu na jawie wyrwał mnie dźwięk komórki. Lekko zdezorientowana wbiłam wzrok w wyświetlacz, który



informował o nadejściu SMS - a. Może Lenie przyszło do głowy, kto stoi za tym anonimowym SMS - em? Mechanicznie otworzyłam wiadomość i przeraziłam się kolejną groźbą.

Zostaw mnie w spokoju albo nieszczęście, które mnie spotkało, zniszczy i ciebie!

Była północ, kiedy obudził mnie przenikliwy dzwonek komórki. Tym razem nie był to SMS, tylko telefon, ale po niesamowitej wieczornej wiadomości obawiałam się odebrać. Nie znałam nikogo, kto mógłby dzwonić do mnie tak późno w nocy, a więc dzwoniący telefon nie mógł oznaczać niczego dobrego. Podczas gdy myślałam gorączkowo, drżąc na całym ciele, komórka zamilkła. Ale tylko po to, by po chwili rozdzwonić się na nowo. Wkrótce uznałam, że nieodebranie tak samo działało mi na nerwy jak odebranie, i wcisnęłam zieloną słuchawkę na klawiaturze komórki. Nikt się jednak nie odezwał.

- Tak, słucham? Kto to? - spytałam poirytowana i wtedy coś usłyszałam - jakby z bardzo daleka docierało do mnie ciche, upiorne łkanie, które powoli stawało się coraz głośniejsze i wreszcie zakończyło się boleśnie długą i wysoką kadencją. Brzmiało to niczym jakaś przejmująca groźną muzyką sfer. I nagle, zanim zdążyłam ponowić swoje pytania, połączenie zostało przerwane.

Spojrzałam na wyświetlacz, ale dzwoniący ukrył swój numer. Albo wcale go nie miał, pomyślałam bojaźliwie, ponieważ jest nie z tego świata. Dlaczego, zastanawiałam się, dlaczego dostaję te dziwne wiadomości? Czy naprawdę grozi mi niebezpieczeństwo, ponieważ wpadłam na trop tajemnicy, która powinna jednak pozostać przykryta kurzem historii?

Resztę nocy przespałam źle, dlatego następnego ranka byłam naprawdę zadowolona, że mogę pójść do szkoły i opowiedzieć Lenie o dziwnym telefonie.

- Ten komórkowy terror naprawdę zaczyna mi się nie podobać! - wypaliła od razu, obstając twardo przy twierdzeniu, że ktoś w ten sposób usiłuje mnie powstrzymać od dalszych poszukiwań, bez względu na to, czy ostatni telefon brzmiał jak nie z tego świata, czy nie. - Założę się, że robi to ktoś bardzo z tego świata, w dodatku ma w tym własny interes. A zastosował kilka trików, żeby to wszystko wydało ci się naprawdę upiorne!

Westchnęłam głęboko. Tak chętnie przyznałabym jej rację, ale była przecież ta książka, w której znajdowało się mnóstwo informacji o wiadomościach z zaświatów! I mimo że wcale nie chciałam się do tego przyznać, wciąż trochę wierzyłam w duchy. Może i dlatego, że podejrzewanie o taki czyn kogoś z mojego otoczenia wydawało mi się jeszcze bardziej niepokojące.

Dobrze, że nie czeka nas żadna klasówka, pomyślałam. Dziś na pewno bym ją położyła.

Po lekcjach znów poszliśmy z Yannikiem do archiwum miejskiego, aby poszukać innych ciekawych faktów o rodzinie Sunderburgów.

- Wstąpimy na kebab? - spytał po drodze. - Jestem piekielnie głodny.

Mimo że właściwie nie miałam apetytu, dałam się namówić i chwilę później siedzieliśmy obok siebie na pozostałościach muru obronnego przed archiwum miejskich, zgodnie żując kebaby.

Znów zwróciłam uwagę, jak dobrze robiło mi towarzystwo nieskomplikowanego Yannika, człowieka, który po prostu podchodził do życia pozytywnie i aktywnie oraz realizował własne potrzeby i cele. Jakie proste musiało być wszystko dla kogoś takiego jak on.

Byłam naprawdę szczęśliwa, że w tej tajemniczej historii miałam go u boku. Był uspokajająco neutralny, czego nie mogłam powiedzieć o Robercie.

- Co jest? Nie smakuje ci? - spytał, kiedy mimowolnie westchnęłam odrobinę za głośno.

- Smakuje, smakuje - powiedziałam, przełykając ostatni kęs. - Zastanawiałam się tylko, - dlaczego mam tak skomplikowane życie.

Wyjęłam komórkę z kieszeni, przywołałam jeden z dziwnych SMS - ów i podsunęłam go chłopakowi pod nos.

- Co na to powiesz? Czy to sygnał z zaświatów? Zamiast zatracić się w spirytualistycznych przypuszczeniach, Yannik tylko się uśmiechnął.

- Ktoś ma chyba coś przeciwko naszym badaniom! Wydaje mi się, że naprawdę trafiliśmy na trop jakiejś gorącej sprawy!

- Myślisz, że napisał to człowiek?

- No a niby kto? Duch? Nie sądzisz chyba, że Wilhelm osobiście wysłał drogiej Conny SMS z zaświatów!

Właściwie wcale w to nie wierzyłam, mimo to opowiedziałam mu, co wyczytałam w książce Wiadomości z zaświatów.

- Czy nie byłoby możliwe, żeby za pośrednictwem swojego promieniowania energetycznego zmarli wysyłali i takie wiadomości? Pomyśl tylko o piszących mediach, spisujących kiedyś piórem i atramentem to, co zmarli mieli do powiedzenia. Albo o tajemniczych sygnałach alfabetem Morse'a, które ostrzegały niektóre statki przed sztormem czy górą lodową. Dlaczego duchy nie miałyby dziś korzystać z nowoczesnej technologii? - zakończyłam swój wywód.

- A dlaczego by miały? Dlaczego jakiś zmarły miałby mieć interes w straszaniu takiej dziewczyny jak ty? To przecież nie ma sensu! - Yannik zeskoczył z muru. - Istnieją

tylko dwa wytłumaczenia: albo te książki spirytualistyczne mają rację i zmarli kręcą się po świecie, ponieważ wyrządzona im za życia krzywda nie pozwala im spocząć w pokoju. W takim wypadku jednak Wilhelm powinien uważać się za szczęśliwca, że zajęliśmy się jego sprawą. Albo ktoś boi się zdemaskowania i próbuje cię wystraszyć i powstrzymać od dalszych poszukiwań, stosując terror komórkowy. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to drugie wyjaśnienie wydaje mi się logiczniejsze.

- Ale kto to może być? - spytałam, a zeskakując z muru, zupełnie niespodziewanie wylądowałam prosto w ramionach Yannika.

Zupełnie niespodziewanie przytulił mnie przez moment do siebie, a potem, rozluźniając uścisk, powiedział:

- Jest tylko wąskie grono osób zainteresowanych zatuszowaniem wyników naszych poszukiwań: to musi być ktoś z rodziny von Sunderburg!

Przypomniałam sobie o rozmowie telefonicznej z Robertem, w której prosił mnie o dyskrecję i przez chwilę miałam wrażenie, że przypuszczenia Yannika rzeczywiście leżą blisko prawdy. Czy ktoś z rodziny Sunderburgów mógł przysłać mi te makabryczne SMS - y? Natychmiast odrzuciłam myśl, że Robert mógłby mieć z tym cokolwiek do czynienia. Ostatecznie zaproponował mi swoją pomoc, a chyba nie aranżowałby spotkania z ciocią Luisą i jednocześnie bombardował mnie pogrózkami! Poza tym powiedział, że mnie kocha, co już samo w sobie stanowiło podstawę, aby nie przypisywać mu takiej podłości! Kto inny chciał mnie tak nastraszyć?

Bibliotekarka w archiwum przywitała nas jak starych znajomych. Spytała od razu, czy chcemy ten sam film.

Podczas gdy Yannik go montował, opowiadałam mu szeptem o swoich przemyśleniach dotyczących anonimowego kamienia pamiątkowego.

- Masz rację - przytaknął Yannik. - Ktoś mógł zmusić Wilhelma do zatajenia imienia dziewczyny. Ale kto spoza rodziny byłby tym zainteresowany?

- Sprawdźmy w gazecie, czy nie będzie informacji o złożeniu kamienia - zaproponowałam.

- Widziałem w administracji cmentarza, że rachunek był datowany na połowę maja - powiedział Yannik. - Oznaczałoby to, że postawiono go tam w maju albo wcześniej.

- Też już o tym myślałam - wtrąciłam cicho. - Skoro Wilhelm przyjechał transportem na początku kwietnia, to mógł wkrótce po powrocie zamówić kamień. Myślisz, że kamieniarz uporałby się z czymś takim w ciągu kilku tygodni?

- Dlaczego nie, jeśli znalazłby się na swoim rzemiośle? Film był gotowy do startu i Yannik przewinął go aż do kwietnia. Znów przypadkowo zatrzymał się na zdjęciu repatriantów. Powoli przesuwiał go dalej.

Już wkrótce rozboleły mnie niewyspane oczy, litery artykułów zaczęły podskakiwać i wkrótce rozmyły się na dobre.

Nagle z gmatwaniny liter wyłonił się krótki tekst o zadziwiającej ostrości.

Potajemnie i w pośpiechu ustawiono na cmentarzu św. Magnusa poniższy kamień pamiątkowy. Pytania naszego reportera w administracji cmentarza o zleceniodawcę i powód pozostały bez odpowiedzi. Dobrze poinformowane kręgi przypuszczają, że kazał go tam ustawić Wilhelm von Sunderburg, na pamiątkę swojej zaginionej siostry Constanze.

Zdjęcie pod tekstem pokazywało jednoznacznie pomnik, który odkryliśmy na cmentarzu, tyle że jeszcze nieporośnięty bluszczem.

Zrobiłam głośny wydech, również Yannik dał upust zaskoczeniu, wydając krótki okrzyk.

- Nazywała się Constanze! - Ledwie mogłam w to uwierzyć. - Naprawdę Constanze, tak jak ja!

Przypomniałam sobie reakcje w domu Sunderburgów, potem to dziwne przeżycie w kościele i nagle zrozumiałam, dlaczego dziadek Roberta zareagował na mnie tak negatywnie. Moje imię przywiodło mu na myśl siostrę. Constanze!

- Dziwne - powiedział Yannik w zamyśleniu. - Nie uważasz tego za nader osobliwe, że brat zamawia kamień pamiątkowy siostrze, anonimowy, i w dodatku zaopatruje go w taką inskrypcję?

Yannik miał rację. Wbiłam wzrok w zdjęcie pomnika. Mojej jedynej miłości, przeczytałam, zastanawiając się, jaki rodzaj miłości łączył to rodzeństwo.

## Rozdział 12

### Zagadki i znaki

Każde nasze nowe odkrycie Yannik traktował jak kolejną zagadkę.

- Powinniśmy wybrać się do urzędu stanu cywilnego i przejrzeć rejestry urodzeń. Jeżeli Constanze przyszła na świat w naszym mieście, to musi być tam wpisana.

Ta propozycja wydała mi się bardzo pomocna i po raz kolejny wpadłam w zachwyt nad inteligencją Yannika.

Tymczasem przewijałam film dalej, patrząc zupełnie automatycznie na Strony, nagle w jednoszpaltowym artykule wpadło mi w oko nazwisko Friedricha von Sunderburga. Zatrzymałam film, nastawiłam ostrość, a potem w wielkim napięciu przeczytaliśmy notatkę prasową.

Postępowanie przeciwko Friedrichowi von Sunderburgowi umorzone.

Po zakończeniu śledztwa w sprawie śmierci Wilhelma von Sunderburga stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że jego brat Friedrich nie ponosi żadnej winy. Na podstawie jednoznacznych poszlak należy przyjąć, że Wilhelm stracił życie na skutek nieszczęśliwego wypadku. Wina osób trzecich została całkowicie wykluczona.

- No, pięknie! - mruknął sfrustrowany Yannik. - Mamy wreszcie artykuł, a w nim coś takiego. Czy ten głupi reporter nie mógł wspomnieć o przyczynach śmierci?

- Cofnij się trochę. Może przeoczyliśmy jakiś tekst. Na pewno opisali to szczegółowo w innym wydaniu.

Szukaliśmy, jednak nadaremnie.

- Hm - odezwał się Yannik. - Zawsze gdy chodzi o tę sprawę, w gazecie pojawiają się wyłącznie aluzje. Myślisz, że rodzina Sunderburgów już wtedy była tak potężna, że mogła wpływać na prasę?

Byłam w stanie to sobie wyobrazić, ponieważ oglądałam niejedyn film w telewizji, w których politycy i bossowie przemysłowi przekupywali dziennikarzy, żeby ci przemilczali pewne doniesienia. Tyle że wtedy pieniądze nie były nic warte.

- Sunderburgowie na pewno mieli coś do zaoferowania - stwierdził Yannik. - W razie konieczności płacili w naturze. Dzikiem czy jeleniem, bo ja wiem.

Z niesmakiem pomyślałam znów o dziwnych wiadomościach, które mnie terroryzowały. Jeżeli przypuszczenia Yannika się zgadzały, to rzeczywiście było bardzo prawdopodobne, że ktoś z rodziny Sunderburgów próbował utajnić tę historię i przeszkodzić mi w poszukiwaniach!

Zrobiłam wydruk artykułu, potem wstałam i przeciągnęłam się.

- Dzięki, Yannik, że mi pomogłeś. Muszę już lecieć do klubu jachtowego. Pojutrze mam egzamin na patent żeglarski i muszę koniecznie jeszcze poćwiczyć.

- Mam pójść z tobą? - zaskoczył mnie pytaniem Yannik.

- Ehe... ehe... nie... - wyjąkałam i pomyślałam, na litość boską, jeśli Robert go zobaczy! Potem jednak odmowa wydała mi się totalną niewdzięcznością z mojej strony, dlatego powiedziałam, nie myśląc o konsekwencjach: - To znaczy, właściwie czemu nie!

Wsiedliśmy więc oboje na rowery i pojechaliśmy przez skąpany w słońcu park nad jezioro.

Katastrofa była z góry zaprogramowana. Yannik wprawdzie został przyjęty przez Lenę radosnym „Cześć!”, jak również Nils rzucił mu kilka uprzejmych słów, natomiast Robert przyglądał mu się z ogromną nieufnością. Kiedy później w klubie Lena wspomniała jeszcze, że Yannik pomaga



mi w poszukiwaniach na temat tajemniczego grobu, Robert zareagował wręcz agresywnie.

Zabronił Yannikowi wtykania nosa w sprawy, które ani trochę nie powinny go obchodzić, i kiedy przeszli tak od słowa do słowa, to musiał wkroczyć Nils, żeby nie doszło do rękoczynów.

Prychając gniewnie Robert chwycił mnie za rękę, ściągnął ze stołka i wyprowadził na zewnątrz.

- Czy koniecznie musiałaś spiknąć się z takim typkiem?! - wykrzyknął wzburzony. - Nie ufasz mi dostatecznie? Mogę powiedzieć ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale najpierw sam muszę wycisnąć to ze swojej rodziny!

Wyszarpnęłam rękę z jego uścisku i roztarłam bolące palce.

- To boli - powiedziałam z wyrzutem. - Nie wiem, dlaczego tak się wściekasz. Jak dotąd twoja rodzina nie okazała się chętna do udzielania informacji, a może masz mi do powiedzenia coś nowego?

- Tak, mam! - odparł Robert wciąż jeszcze porywczym tonem. - Ciocia Luisa chce porozmawiać z nami dziś wieczorem.

- Ciocia Luisa! - prychnęłam tylko bezczelnie, ponieważ jego agresywne zachowanie wydawało mi się kompletnie nie na miejscu. - Myślisz, że wydobędziesz z niej więcej niż z pozostałych? Ale dobrze, spytamy ją o siostrę. Spytamy, co stało się z ukochaną siostrą Wilhelma, Constanze!

I powiedziawszy to, zostawiłam totalnie zaskoczonego Roberta i rozzłoszczona pobiegłam z powrotem do klubu.

W krótkich zdaniach wyjaśniłam Yannikowi, że nie mogę niestety wracać z nim do miasta, ponieważ razem z Robertem mamy spotkanie z ciocią Luisą. Wydało mu się to niesamowicie ciekawe i powiedział tylko:

- Powodzenia, chętnie byłbym przy tej rozmowie.

Zostawiłam rower w klubie i pojechaliśmy sportowym samochodem Roberta prosto do willi.

Ciocia Luisa czekała na nas w saloniku urządzonego starymi francuskimi meblami.

Czułam się dość nieswojo, ponieważ ciocia - babcia Roberta odnosiła się do mnie dość chłodno i z rezerwą.

Jak Robert skłonił ją do tego, żeby zgodziła się na moją obecność przy rozmowie? Ostatecznie jej zachowanie w stosunku do mnie było jednoznaczne!

- Załatwimy to krótko - powiedziała. - Co wiesz o Wilhelmie?

Kiedy skonfrontowałam ją z najnowszymi faktami, o których dowiedziałam się dzisiaj ze starych gazet, uznała, że może delikatnie uchylić rąbka tajemnicy skrywającej przeszłość.

- Cóż, Constanze nie była naszą rodzoną siostrą - oznajmiła, przenosząc wzrok ze mnie gdzieś w dal. - Była córką bliskiego przyjaciela rodziny. Wraz z żoną zginął w katastrofie kolejowej, a ponieważ Constanze nie miała innej rodziny, nasz ojciec Friedrich Wilhelm von Sunderburg adoptował ją. Friedrich, Wilhelm i Constanze wychowywali się jak rodzeństwo. Wtedy byłam jeszcze bardzo mała i mogę wam tylko przekazać to, co mi opowiadano. Na krótko przed wybuchem wojny Wilhelm i Constanze zakochali się w sobie. On został wcielony do wojska, a po nalocie bombowym pod koniec wojny Constanze nie wróciła do domu. Wszelki ślad po niej zaginął. Kiedy Wilhelm wrócił z niewoli, zapadł z tego powodu na depresję.

- A jak zmarł? - spytał Robert.

Ciocia Luisa zniżyła głos i jakby zdradzała nam niewypowiedzianą tajemnicę, wyszeptała niemal bezgłośnie:

- Zastrzelił się.

Wszystko do siebie pasuje, pomyślałam, wsiadając do samochodu Roberta, żeby odwiózł mnie do domu. Wtedy po nalotach ginęło wiele ludzi, którzy już nigdy się nie odnajdywali. I Wilhelm z całą pewnością nie był jedynym, który w tamtych dniach popełnił samobójstwo z rozpaczy po stracie ukochanej. Mimo że nie potrafiłam sobie wy tłumaczyć, dlaczego rodzina robiła z tego aż taką tajemnicę, historia cioci Luisy wydała mi się wiarygodna i byłam skłonna uznać sprawę za zakończoną.

Odetchnęłam głęboko i w drodze do domu napawałam się przyjemnością szybkiej jazdy z otwartym dachem po krętej drodze. Szkoda, że miałam dopiero piętnaście lat i musiałam czekać jeszcze całą wieczność na prawo jazdy - a na odpowiedni samochód pewnie jeszcze dłużej. Cóż, wszystko jedno! Nie trzeba mieć wszystkiego na własność, pomyślałam z zadowoleniem, chłopak ze sportowym samochodem jest dobrym początkiem.

Robert włączył radio.

... The time is right, your perfume fills my head, the stars get red and oh the night's so blue... and then I go and spoil it all by saying something stupid like I love you... dobiegło ze wszystkich czterech głośników.

Och, och, pomyślałam, robi się jednak zbyt romantycznie. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafiłam dać się ponieść temu nastrojowi, tylko szybko skierowałam rozmowę ponownie na ciocię Luise.

- To naprawdę było miłe z jej strony, że opowiedziała nam tę historię. Nie rozumiem tylko, dlaczego nikt nie może się o niczym dowiedzieć. Samobójstwo z miłości i to tak dawno temu nie może przecież w żaden sposób zaszkodzić reputacji firmy. Czy twój ojciec nie dmuchał przypadkiem na zimne?

Robert patrzył skoncentrowany na drogę, kiedy odpowiedział:

- Pogadamy o tym teraz czy w restauracji? Zapraszam cię. Co wolisz, chińszczyznę czy steakhouse?

Zawahałam się.

- Nie, dzisiaj nie - odmówiłam. - Jest już późno, a ja jestem trochę zmęczona.

- Ale jutro jest sobota.

- Mimo wszystko. Może innym razem.

- Szkoda - powiedział Robert i zamilkł. Pogrążyłam się w myślach. Tragiczna historia Wilhelma i Constanze nie wychodziła mi z głowy

- Czy to nie przerażająco smutne: człowiek wraca z niewoli do domu, cieszy się, że wreszcie będzie mógł poślubić ukochaną, a tam dowiaduje się, że zaginęła, prawdopodobnie nie żyje? - spytałam w zadumie. - To wspaniałe ze strony Wilhelma, że ufundował Constanze kamień pamiątkowy - kontynuowałam. - Dziwi mnie jednak to, dlaczego kamień pozostał anonimowy? Mimo że nie znaleziono jej ciała i grób tak naprawdę nie jest grobem, to pamiątka byłaby znacznie pełniejsza, gdyby kazał wykuć w kamieniu jej imię, prawda? Dlaczego tego nie zrobił? - Naprawdę nic a nic nie przychodziło mi do głowy. - Masz może na to jakieś wyjaśnienie? - spytałam Roberta.

Ten jednak koncentrował się wyłącznie na prowadzeniu samochodu i zbył mnie milczeniem.

Również wbiłam wzrok w jezdnię przed nami, myślami jednak w dalszym ciągu byłam przy Wilhelmie i Constanze.

Jak bardzo musiał ją kochać, skoro nie chciał bez niej dłużej żyć.

W świetle reflektorów samochodu pojawił się kościół św. Jana. Zdumiałam się, gdy Robert skręcił w jedną z bocznych uliczek. Prowadziła tuż obok cmentarza św. Magnusa.

Chciałam właśnie spytać, dlaczego wybrał tę drogę, gdy pośrodku jezdni dostrzegłam jasną postać. Przerażona krzyknęłam.

- Zatrzymaj się, Robert! Nieee!!!

Było jednak za późno. Mimo że natychmiast zareagował na mój krzyk i zahamował gwałtownie, samochód przejechał przez postać. I podczas gdy przecinał jej blade ciało na pół, odwróciła się i ujrzałam białą jak na marmurowej płaskorzeźbie twarz Constanze.

Kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, wisiałam bezwładnie na pasie bezpieczeństwa.

- Conny, mój Boże! Co się stało? Zobaczyłaś coś na ulicy? Przejechałem królika? Tu, przy cmentarzu, kręci ich się zawsze sporo.

Robert wysiadł z samochodu i zaczął szukać śladów zderzenia ze zwierzęciem. Niczego jednak nie znalazł.

- Musiałaś chyba zobaczyć ducha - zażartował, siadając ponownie za kierownicą.

Wciąż jeszcze byłam kompletnie zszokowana i cała się trzęsłam.

- Zimno mi - wyszeptałam. - Okropnie mi zimno.

Ponieważ nie wiedział, co ze mną zrobić w tak dziwnym stanie, znów zdjął sweter i otulił nim moje ramiona. Następnie odwiózł mnie do domu.

Kiedy otworzył drzwiczki, żeby pomóc mi wysiąść, powoli zaczęło wracać do mnie życie.

Chciałam oddać mu sweter, ale Robert machnął tylko ręką.

- Zostaw. Wstąpię po ciebie jutro i pojedziemy do klubu. Do tego czasu możesz go zatrzymać.

Odprowadził mnie pod drzwi.

- Możesz mi teraz powiedzieć, co cię tak okropnie wystraszyło? Żadnego zwierzęcia nie przejechałem.

Nie, pomyślałam, to nie było zwierzę, tylko przepiękna młoda kobieta, która była duchem. Duch Constanze albo jej ciało astralne albo po prostu to, co ze świata zmarłych mogło się zmaterializować pośrodku jezdni.

Dlaczego dziś ukazała mi się ponownie, skoro wszystko wydawało się już rozwiązane? Widziałam tylko jedno logiczne wyjaśnienie.

- Robert, w opowieści cioci Luisy coś się nie zgadza - powiedziałam powoli. - Coś, co ma związek ze śmiercią Constanze i być może Wilhelma.

A w głębi duszy pomyślałam, że albo moje nerwy są w stanie krańcowego wyczerpania i zmysły mnie zawiodą - albo duch dziewczyny wciąż nie znalazł spokoju.

Właśnie kładłam się spać, gdy zadzwonił Yannik. Był ciekawy, co wyjawiała mi ciocia Luisa. Zdałam mu relację z najistotniejszych faktów i on też natychmiast zwrócił uwagę, że w tym wszystkim nie było wyjaśnienia, dlaczego Wilhelm postawił Constanze anonimowy pomnik, i podobnie jak ja nie potrafił dostrzec powodu, dla którego rodzina tak uporczywie nie zgadzała się, aby ta sprawa wyszła na jaw.

- Za tym musi kryć się coś więcej - zastanawiał się również Yannik. - Constanze musiała mieć wrogów w rodzinie, którzy chcieli wymazać jej imię z pamięci potomnych i byli na tyle potężni, że nawet Wilhelm nie był w stanie im się przeciwstawić.

Mimo że tak chętnie zamknęłabym już tę sprawę, to jednak musiałam przyznać mu rację. Przypomniałam Yannikowi artykuł z gazety.

- To dlatego Wilhelm zlecił ustawienie kamienia w tajemnicy. Tylko dlaczego dziadek Roberta wciąż jeszcze uiszcza opłaty cmentarne? Myślisz, że on też odgrywa w tej historii jakąś rolę?

- Bądź co bądź to on odniósł największe korzyści ze śmierci Wilhelma - stwierdził Yannik.

Słowo „korzyści” przypomniało mi kronikę rodzinną i umowę spadkową.

- To też zwróciło moją uwagę - przyznałam mu rację i opowiedziałam o umowie. - Przez śmierć Wilhelma przypadł mi w udziale cały majątek firmy Sunderburgów. I to w wieku dwudziestu dwóch lat!

Usłyszałam, że po drugiej stronie łączy Yannik wstrzymał oddech ze zdumienia.

- Musisz przyznać, że nie jest to taki błahy motyw przestępstwa - powiedział. - Myślę, że jeszcze nie zakończyliśmy tej historii.

W środku nocy obudziłam mnie komórka. Wieczorem byłam tak zaaferowana tym wszystkim, że zapomniałam ją wyłączyć, a teraz sięgnęłam po nią jak w transie. Jeden rzut oka na wyświetlacz wystarczył, abym upuściła ją jak gorący ziemniak.

Ktoś znów przysłał mi anonimowy SMS i znów było to wyraźne ostrzeżenie.

Zaprzestań poszukiwań albo gorzko tego pożałujesz. Nie poświęcaj miłości żyjących dla miłości zmarłych!

- Jednego nie rozumiem - powiedziałam w sobotni poranek do Leny, pokazując jej w klubie żeglarskim SMS. - O co chodzi w tym ostatnim zdaniu?

Lena nie miała jednak czasu łamać sobie nad tym głowę, ponieważ przed południem miał się odbyć praktyczny egzamin żeglarski.

Ja też odczuwałam nerwowe łaskotanie w brzuchu, schowałam więc komórkę do plecaka i postanowiłam, mimo że nie przyszło mi to łatwo, zapomnieć chwilowo o tym temacie i skoncentrować się na egzaminie.

Kiedy przygotowywałyśmy z Leną łódź, nadszedł niby przypadkiem Robert.

- Ahoj, połamania masztu - powiedział i zwracając się do mnie, dorzucił cicho: - Po egzaminie zapraszam cię na obiad. Jeżeli zdasz.

Uznałam, że to miło z jego strony, teraz jednak głowę miałam zaprzątniętą czymś innym. I bardzo dobrze. Chciałam po prostu na chwilę zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z nazwiskiem Sunderburgów.

Musiałam koniecznie pomyśleć o czymś innym, żeby optymistycznie podejść do egzaminu.

Lena też była chyba tego zdania, ponieważ odepchnęła Roberta i powiedziała dość zdecydowanym tonem:

- Nie widzisz, że przeszkadzasz? Naprawdę nie mamy teraz czasu na pogaduszki. Zaraz zacznie się nasz egzamin.

Lekko naburmuszony odszedł w stronę budynku klubu.

Egzaminator uchodził za dość ostrego. Nils zaklinał nas żarliwie, aby każdy ruch wykonywać zgodnie z przepisami, a przede wszystkim głośno zapowiadać każdy manewr. Potem zachęcająco poklepał nas po ramieniu. Wskoczyłyśmy do łodzi, zwolniłyśmy cumy, wciągnęłyśmy grotzagiel i zaczęłyśmy halsować przy silnym wietrze.

Egzaminator przyłożył megafon do ust i wydawał kolejne polecenia. Wreszcie przyszedł czas na manewr „człowiek za burzą”.

Wyrzuciłam kanister do wody i po zwrocie, ustawieniu dziobu z wiatrem i dryfie wciągnęłam go z powrotem na pokład.

Później zamieniłyśmy się miejscami i na komendę egzaminatora wykonałyśmy manewr jeszcze raz. Kiedy z megafonu dobiegło: „Dziękuję! Następne trzy łodzie!” nie mogłyśmy wręcz uwierzyć, że egzamin mamy za sobą.



- I co, zdałyśmy? - spytałam. Kolana mi drżały, bo dopiero teraz schodziło ze mnie napięcie.

Nils roześmiał się.

- Jeśli o mnie chodzi, to na pewno! Byłyście naprawdę świetne. Musimy jednak poczekać do oficjalnego ogłoszenia wyników. Wywieszają je pół godziny po ostatnim egzaminie.

Zdjęliśmy olinowanie łodzi i zwinęliśmy żagle. Potem poszliśmy do klubu.

Robert wciąż jeszcze siedział przy oknie. Przed nim na stoliku leżała lornetka, a obok stał kufel piwa.

Lena przysiadła się do Henninga przy barze, gdzie zgromadziło się sporo innych członków klubu i zdających egzamin. Wszyscy, z mniejszym lub większym napięciem, czekali na wyniki.

Chętnie usiadłabym razem z nimi, nie chciałam jednak zostawiać Roberta samego. Oprócz nas znał niewiele osób w klubie.

Zamówiłam sobie gorącą czekoladę, pogawędziłam chwilę z Henningiem i podeszłam do stolika Roberta pod oknem. Ponieważ nie miałam ochoty zaczynać znów tematu jego rodziny, skierowałam rozmowę na zbliżający się rejs po Bałtyku.

- Ogromnie się cieszę na tę wyprawę - powiedziałam. - Pierwszy raz mogę wziąć w niej udział - i to od razu ze świeżym patentem w kieszeni! To znaczy: mam nadzieję - dodałam.

- O egzamin się nie martw - pocieszył mnie Robert. - Ja też bardzo się cieszę. Nareszcie znów jakieś żeglarskie wyzwanie. Jezioro jest całkiem przyjemne dla początkujących, ale dla mnie dość nudne. Jeśli się nie ma, co się lubi...

- Hm, po Bałtyku możesz żeglować trzy dni od rana do wieczora. Dopóki nie padniesz wyczerpany na łóżko w jakimś

schronisku młodzieżowym - powiedziałam, starając się nie nawiązywać do jego wyniosłości.

- Lena na pewno popłynie z Nilsem - stwierdził. - A ty mogłabyś płynąć ze mną, prawda? - Zabrzmiało to jak stwierdzenie. - Mam już skończone osiemnaście lat i wszystkie potrzebne patenty. Poza tym ze mną będziesz się świetnie bawić. Bałtyk jest moim drugim domem! - zachęcał, widząc moje wahanie.

Kiedy tak siedział w ciemnoniebieskim golfie, tym samym, który mi pożyczył, opalony i z szelmowsko uniesionymi kącikami ust, nie mogłam zaprzeczyć, że był niesamowicie atrakcyjny.

Wreszcie przyszedł Nils z wynikami i natychmiast wybuchła wielka radość. Wszyscy zdali. No to świętowanie potrawa do wieczora. Naturalnie każdy chciał postawić Nilswi kolejkę i nagle zrobiło się ich tyle, że do akcji musiał wkroczyć Henning.

- Zmuszanie go do pijaństwa trudno nazwać wdzięcznością! - powiedział. - Jeżeli wypije jeszcze jednego, to popadnie w delirium!

Powoli robiło mi się za wesoło, postanowiłam więc pójść do domu. Paliłam się do pokazania rodzicom świeżo zdobytego patentu. Lena natomiast nie miała najmniejszej ochoty opuszczać imprezy i Nilsa.

- Boję się jechać sama rowerem w ciemnościach! - powiedziałam z wyrzutem.

- Wobec tego musisz jeszcze trochę zostać. - Lena nie dała się ponaglić.

Chciałam właśnie powiedzieć coś na temat braku kobiecej solidarności, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia. Robert.

- Przecież cię odwiozę, to jasne - zaproponował.

- Ale mój rower! W ten sposób nigdy nie zabiorę go do domu!

- Dopóki masz we mnie swojego osobistego taksówkarza, nie będziesz go potrzebować - powiedział.

Wyszczrzyłam zęby i rzucając z nonszalancką swobodą: „Ciao, Lena! Dobrej zabawy. Robert odwiezie mnie samochodem”, opuściłam klub z aroganckim uśmiechem na ustach. Skoro Lena chciała zabawiać się ze swoim facetem, to ja też mogłam! Poza tym nikt nie miał tak świetnego samochodu sportowego jak Robert.

Kiedy ruszyliśmy, nie od razu zdałam sobie sprawę, dokąd Robert mnie wiezie. Zorientowałam się, gdzie jesteśmy, dopiero gdy zaparkowaliśmy na terenie firmy Sunderburgów. Wyłączył silnik i wskazał na jasno oświetlony budynek.

- Kiedyś to wszystko będzie należało do mnie - powiedział dumnie. - A może i do ciebie - dodał zachęcająco, co mnie dość zirytowało. - Zbudowali to mój dziadek i mój ojciec. Nikt nie ma prawa podawać w wątpliwość ich osiągnięć i brać na języki naszą firmę z powodu dawno zapomnianych historii. Ten Yannik też nie! Jeżeli mnie kochasz, to zakończysz współpracę z nim i powiesz mu, żeby przerwał swoje poszukiwania.

Spojrzałam na Roberta zdumiona. A cóż to za dziwaczna demonstracja? Czy rzeczywiście był tak zazdrosny o Yannika, czy też naprawdę się obawiał, że moglibyśmy odkryć jakąś skandaliczną tajemnicę jego rodziny?

- Uważam, że opowieść cioci Luisy wyjaśniła całą sprawę - kontynuował, ponieważ milczałam. - I myślę, że ty też powinnaś tak uważać i wytłumaczyć to swojemu koledze.

I zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, pochylił się nade mną i przycisnął swoje usta do moich. Nie delikatnie i czule jak ostatnio na łodzi. Tym razem jego atak był brutalny i gwałtowny, tak jakby chciał mnie zmusić do tego, abym wyłączyła rozum i całkowicie podporządkowała się jego władzy.

Odepchnęłam go. Wypił chyba więcej, niż powinien, pomyślałam, szukając wyjaśnienia dla jego niepokojącego zachowania. Wtedy jednak nie wsiadłby za kierownicę. Co się z nim działo?

- Powiedz, że mnie kochasz - zażądał w przekornej euforii. - Powiedz to, a będziesz miała wszystko, moje serce, firmę, świat!

- Na początek wystarczyłoby mi, gdybyś odwiózł mnie do domu albo jeśli nie jesteś w stanie, zamówił mi taksówkę - powiedziałam z lekką ironią w głosie, żeby nie musieć nawiązywać do jego dziwnego przyływu wspaniałomyślności.

Moje słowa rzeczywiście trochę go otrzeźwiły. Włączył silnik i powiedział:

- OK, dziś zawiozę cię jeszcze raz grzecznie do domu, moja słodka, ale przygotuj się, na Bałtyku będzie dziko i niebezpiecznie!

Uśmiechnął się szeroko i ruszył z piskiem opon po podjeździe.

## Rozdział 13

### Tajemnice rodzinne

W niedzielne popołudnie zjawił się niespodziewanie Yannik. Trzymał w ręce pudełko czekoladek.

- Wiem, że powinienem był wcześniej zadzwonić - powiedział przepaszająco. - Akurat przechodziłem w pobliżu i pomyślałem, że powinniśmy może przejrzeć jeszcze raz referat z bioli. Jutro rano musimy go przecież zaprezentować.

Uśmiechnęłam się w duchu. Ten chłopak był jednak kujonem, bez dwóch zdań. Odrobina przygotowań nie mogła mi jednak zaszkodzić. Wskazałam na krzesła ogrodowe.

- Możesz zostać w ogrodzie, zaraz przyniosę swoje rzeczy. Pogoda jest taka ładna, że przyjemniej będzie siedzieć tutaj.

Tegoroczna wiosna była wyjątkowo ładna i już od wielu dni rozpieszczała ludzi i przyrodę słońcem i przyjemną temperaturą.

- Żeby tylko taka się utrzymała podczas naszego rejsu - powiedziałam. - Byłoby super.

Popatrzyłam na Yannika ze współczuciem.

- Szkoda, że nie żeglujesz.

- Kto tak powiedział?

- Kto co powiedział?

- No, że nie żegluję. Co ci przyszło do głowy? - Yannik roześmiał się wprawdzie, ale wydawał się lekko urażony.

- Nigdy cię nie widziałam w klubie.

- Fakt, że nie jestem w twoim klubie, nie musi wcale oznaczać, że nie potrafię żeglować.

Zrobiło mi się trochę przykro z powodu tej gadki. O co mu właściwie chodziło?

- No więc jak? - spytałam poirytowana. - Umiesz żeglować czy nie?

- Umiem.

- Serio? Masz patent?

- Dwa. Żeglugi śródlądowej i morskiej, poza tym uprawnienia do prowadzenia motorówki.

Zatkało mnie.

- Niemożliwe! A gdzie pływasz?

- Od czasu do czasu u ekologów. Nie stać mnie, niestety, na własną łódź. Ekolodzy mają sekcję żeglarską nad jeziorem w Steinhunde. Tam zrobiłem też patenty. Ostatnio jednak rzadko u nich bywam. Kiedyś ojciec miał czas, żeby wozić mnie częściej, a podróż pociągiem i autobusem jest zbyt uciążliwa.

Patrzyłam na niego zdumiona. To naprawdę niesamowite, ile niespodzianek się w nim kryło. Zupełnie spontanicznie powiedziałam:

- Człowieku, nie miałbyś może ochoty wybrać się z nami na rejs po Bałtyku?

Roześmiał się.

- Miałbym, czemu nie, ale na pewno trzeba być członkiem klubu, poza tym nie jest to wcale takie tanie, jak się domyślałam.

Uradowałam się swoim pomysłem, szczególnie dlatego, że niepokoiło mnie zachowanie Roberta, jego atak pocałunkowy i dziwna uwaga, poza tym jego pyszałkowatość też działała mi na nerwy. Marzyłam raczej o wesołym rejsie, a to, co rozumiał pod pojęciem „dziko i niebezpiecznie” na pewno nie spełniało moich oczekiwań. Jeśli Yannik popłynie z nami, Robert, być może, będzie trzymał się w ryzach i nie rzuci się na mnie przy pierwszej lepszej okazji! Sama przed sobą musiałam przyznać, iż oczywistość, z jaką zakładał, że jestem w nim tak samo zabujana jak on we mnie, zaczęła mnie już irytować.

Gdyby Yannik wybrał się z nami, sprowadziłoby to może Roberta z powrotem na ziemię.

- Poczekaj - powiedziałam do niego i sięgnęłam po komórkę. - Zapytam Lenę. Ma dobre kontakty z Nilsem. On zorganizował ten rejs. Od razu nam wyjaśni, czy można jeszcze coś zrobić w tej sprawie.

Pomysł, żeby Yannik popłynął z nami, bardzo przypadł Lenie do gustu. Już od pewnego czasu odnosiłam wrażenie, że chęć wyswatania mnie z Robertem wyraźnie jej przeszła. Woląла widzieć mnie z Yannikiem.

Chwilę później oddzwoniła.

- Nils powiedział, że jeśli ktoś zrezygnuje, a Yannik będzie gotowy, to może wskoczyć na to miejsce, Nils nie będzie miał nic przeciwko. Potrzebne będą tylko pieniądze i polisa ubezpieczeniowa.

Spojrzałam z triumfem na Yannika.

- I co?!

Mój zapał wyraźnie go rozbawił.

- Jeszcze nikt nie zrezygnował. Poza tym muszę najpierw sprawdzić zawartość skarbonki. Jednak przyznaję, że ta myśl bardzo mi się podoba.

Nie wiem dlaczego, ale już widziałam się obok tego dryblasowatego chłopaka z loczkami i naprawdę nieprzyzwoicie długim nosem, jak prujemy po spienionych falach Bałtyku. Jeżeli potrafię choć trochę przewidywać przyszłość, pomyślałam, to sprawa załatwiona.

Sprawa była załatwiona. Już w poniedziałkowe popołudnie, gdy świętowaliśmy z Yannikiem przy kawie z mlekiem nasz referat z bioli, zadzwoniła do mnie Lena i przekazała radosną wiadomość, że zwolniło się miejsce, ponieważ jeden z członków klubu złamał rękę.

Kiedy minęła pierwsza radość, Yannik popatrzył na mnie badawczo.

- Chyba nie maczałaś w tej sprawie palców, mała czarownico?

- O Boże, nie! Myślisz, że zepchnęłabym kogoś ze schodów?

- No, to mnie uspokoiłaś - powiedział z łobuzerskim uśmiechem. - Nie zniósłbym, gdybyś z mojego powodu miała kogoś na sumieniu. A co powie na to ten Robert?

Bezpośredniość tego pytania trochę mnie dotknęła, ponieważ jak dotąd specjalnie odpychałam od siebie tę myśl.

- Ach, jakoś to będzie - rzuciłam półgębkiem. Yannik uśmiechnął się.

- Pamiętaj o tym, że od teraz będziesz miała bodyguarda.

- Bodyguarda? - Nie bardzo go zrozumiałam.

- W przeciwieństwie do ciebie za grosz nie ufam temu Robertowi von Sunderburgowi. Myśl, że będziesz z nim sama na Bałtyku, nie była przyjemna. Teraz czuję się o wiele lepiej, skoro wiem, że mogę cię mieć na oku.

Słowa Yannika bardzo mnie zdziwiły, ponieważ nie pobrzmiwała w nich zazdrość, tylko szczerą troską, do której tak naprawdę nie widziałam najmniejszych powodów. Dobrze, Robert zachowywał się ostatnio trochę zbyt gwałtownie, było to trochę uciążliwe, ale nie mogłam uwierzyć, że miałyby stanowić dla mnie prawdziwe zagrożenie.

- Ach, nie martw się - powiedziałam więc. - Robert jest w porządku. Będę musiała choć raz z nim popłynąć. Już dawno się umówiliśmy.

Yannik roześmiał się.

- Wobec tego licz się z tym, że przykleję się do rufy jego pięknej łodzi!

Cały on!

Cóż, powinnam się z tego cieszyć, bo to raczej przeszkodzi Robertowi w byciu „dzikim i niebezpiecznym”, mimo że wcale nie miałam pojęcia, co właściwie pod tym rozumiał. Przypuszczalnie ataki pocałunkowe na otwartym morzu! Nie wiem dlaczego, ale nagle myśl o tym wcale nie



wydała mi się taka romantyczna! Czy to może dlatego, że tamtego wieczoru, gdy wywiózł mnie na teren firmy, tak bardzo przypominał mi swojego władczego dziadka o zimnych, lodowoszarych oczach?

We wtorek popołudniu wszyscy uczestnicy rejsu spotkali się na ostatniej naradzie w klubie jachtowym, później zapakowano łodzie na przyczepy. Mieliśmy wyruszyć w środę zaraz po lekcjach.

Robertowi wyraźnie się nie spodobało, że Yannik jedzie z nami, dlatego odciągnął mnie na stronę.

- Musiałaś ciągnąć go ze sobą? - spytał markotnie. - Po co takiej dziewczynie jak ty taki niedojrzały koleś?

Ponieważ nie przyszło mi nic innego do głowy i nie miałam ochoty na sceny zazdrości, odparłam:

- Skąd ci przyszło do głowy, że to moja sprawka? Lena poleciła go Nilsowi.

Robert jednak pozostał przy swoich podejrzeniach.

- Czy on wciąż jeszcze węszy wokół historii mojej rodziny?

- Ach, nie zachowuj się tak. - Na ten temat również nie miałam ochoty i w nagłym przypływie niechęci dodałam: - Gdyby twoja rodzina nie robiła takiej tajemnicy z Wilhelma i Constanze, to zmarli od dawna mieliby spokój - i my również.

Nie zajrzę, pomyślałam, kiedy późnym wieczorem zadzwieczała komórka. Może to jednak jakaś wiadomość dotycząca rejsu. Zwlekałam, ponieważ ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, wreszcie jednak wywołałam SMS. I znów przeczytałam groźbę, która sprawiła, że przeszły mnie ciarki.

Constanze, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie! Posłuchaj ostrzeżenia! Zostaw zmarłych w spokoju i przyjmij miłość żywych!

Kto terroryzował mnie tymi wiadomościami? Przestałam już wierzyć w to, że pochodziły z zaświatów. O wiele bardziej prawdopodobne było, jak stwierdził już Yannik, że krył się za nimi ktoś z rodziny Roberta. Może ciocia Luisa? Albo wręcz sam Robert? Przyjmij miłość żywych? To było możliwe.

Odsunęłam od siebie nieprzyjemne myśli. Pospiesznie wykasowałam SMS, jakbym przez to mogła sprawić, że nigdy go nie dostałam.

Ale kłopot pozostał i zabrał mi również tej nocy sporo snu.

W promieniach słońca rozpoczęliśmy następnego dnia w południe podróż nad Bałtyk. Starsi uczestnicy rejsu kierowali samochodami z przyczepami.

Robertowi udało się przekonać ojca, żeby pożyczył mu samochód terenowy, ponieważ w jego własnym nie było haka na przyczepę. Nawet jeśli mu się to nie spodobało, przydzielono mu, poza mną i Leną, również Yannika jako pasażera. Robert był blady i zdenerwowany. Kiedy usiadłam obok niego z przodu, pomylił kilka razy biegi, a ruszając, zadławił silnik. Podczas gdy Lena przez całą drogę paplała ożywiona z Yannikiem, Robert był milczący, a z jego twarzy nie schodził wyraz zaciętości. Wszystkie moje żarty trafiały w próżnię, zaczęłam się już zastanawiać, czy rzeczywiście był tak zazdrosny o Yannika, czy może coś innego leżało mu na wątrobie.

Po kilku godzinach dojechaliśmy wreszcie do schroniska młodzieżowego, które od wody dzieliła zaledwie wąska uliczka.

Łodzie zostały zepchnięte na plażę i po krótkiej przekąsce z herbatą słodzoną kandyzowanym cukrem od razu zabraliśmy się za ich przygotowywanie.

Pogoda była w dalszym ciągu wspaniała, nic nie stało więc na drodze wieczornemu rejsowi. Już dawno nie czułam się tak wolna i byłam przekonana, że tutaj żadne wiadomości z

zaświatów ani duchy nie zakłócą mi świetnego nastroju. Kiedy poczułam powiew świeżego wiatru na twarzy, zaczęłam się zastanawiać, czy wszystko, co przeżyłam w ostatnich tygodniach, nie było przypadkiem tylko złym snem. Płynęliśmy z Nilsem i Leną, kiedy tuż obok przemknęła superłódź Roberta. Pomachał nam i wychylił się za reling.

- Powinniście postawić spinaker - zawołał. - Nabierzecie szybkości!

Nils pokręcił głową.

- Ten chłopak naoglądał się za dużo filmów o piratach! Wydaje mu się, że jego jola jest prawdziwym żaglowcem.

- Skoro sprawia mu to przyjemność - wzięłam Roberta w obronę.

Dołączył do nas również Yannik na jednej z klubowych łodzi, małym szybkim laserze. Był ubrany w znoszony, niebieski sweter marynarski i tak samo jak Robert wychylał się mocno za reling. Najwyraźniej chłopcy widzieli w tym prawdziwy smaczek żeglowania!

- Zaraz będzie miał mokry tyłek! - zawyrokowała Lena.

Obserwowaliśmy, jak Robert dyskretnie kieruje swoją jolę w stronę Yannika. Kiedy łodzie się zrównały, krzyknął:

- Hej, szczurze łądowy, ścigamy się?

I zanim Yannik zdążył odpowiedzieć, napiął grotzagiel i pomknął jak strzała. Yannik oczywiście podjął wyzwanie, a Nils, Lena i ja patrzyliśmy z mieszanymi uczuciami na rozwój tego zaciętego pojedynku.

Yannik bez spinakera był na straconej pozycji, ponieważ Robert potrafił lepiej wykorzystywać wiatr, ale dzięki zręcznym manewrom świetnie dotrzymywał mu tempa.

Przypuszczalnie ścigaliby się do nocy, gdyby Nils nie dał sygnału do powrotu.

Następnego dnia znów była piękna pogoda i prawie cały czas spędziliśmy na wodzie. Lena i ja płynęliśmy raz z

Nilsem, raz z Robertem i właściwie nie było żadnych problemów, mimo że Robert starał się trzymać zawsze blisko mnie. Ponieważ jednak po żeglowaniu grupa robiła prawie wszystko razem, udało mi się uniknąć przebywania z nim sam na sam. Po jego zapowiedziach uznałam to za zbyt ryzykowne, poza tym zachowywał się teraz bardzo dziwnie. Opowiadał sarkastyczne dowcipy i śmiał się z nich sztucznie. Często stał pogrążony w myślach, albo spoglądał melancholijnie na morze. Zupełnie jakby dręczył go jakiś skomplikowany problem.

Także ostatni dzień zaczął się piękną pogodą, która koło południa zmieniła się niespodziewanie. Od strony morza zaczęły napływać gęste kłęby białej mgły, spowijające promienie słońca w widmową poświatę. Wkrótce cały horyzont był wielką mleczną ścianą. Wiatr praktycznie ucichł.

- Chyba nie chcesz teraz wypływać?! - zaprotestowałam, kiedy Robert pociągnął mnie w stronę łodzi.

- Obiecałaś mi. Powiedziałaś, że na ostatni rejs popłyniesz ze mną. Proszę - przeszedł na błagalny ton. - Jutro wyjeżdżamy bardzo wcześnie, to nasza ostatnia szansa.

Spojrzałam na morze, z którego wracały właśnie inne łodzie. Jeszcze trochę potrwa, zanim wszyscy dopłyną do plaży, zdejmą takielunek, a przy tak słabym wietrze Robert nie będzie mógł wykonywać żadnych karkołomnych manewrów.

- No dobrze - poddałam się - ale tylko wzdłuż plaży, nie będziemy wypływać dalej. To zbyt niebezpieczne.

Robert uśmiechnął się z zadowoleniem.

- OK, będę na ciebie uważał.

Zepchnęliśmy łódź do wody i Robert zaczął wypływać, zręcznie wykorzystując każdy, choćby najlżejszy podmuch wiatru.

Przeciął drogę kilku nadpływającym do brzegu łodziom i kiedy spotkaliśmy się z Leną i Nilsem, ten zawołał do nas:

- A wy dokąd? Nie widzicie tej mgły? Zawróć, Robert!

Ale Robert roześmiał się tylko i odkrzyknął:

- Spokojna głowa! Znam się na tym!

Kierował łódź coraz dalej od plaży, nie zwracając uwagi na krzyczących i machających rękami żeglarzy, najwyraźniej próbujących nas zawrócić.

- Przestań - odezwałam się dość ostrym tonem. Z niepokojem zauważyłam, że fale przybrały na sile, a te toczące się ku nam ze ściany mgły miały grzebienie piany. To znak, że gdzieś przed nami kończyła się strefa flauty i zerwał się silniejszy wiatr. - Chyba nie chcesz wpłynąć w tę mgłę!

Mój przepełniony strachem okrzyk nie zrobił wrażenia na Robercie.

- Dlaczego nie? - powiedział. - Tu u brzegów często występują ławice mgły. Przeważnie ciągną się ze sto metrów. Na tego, kto przez nie przepłynie, czeka przepiękna pogoda do żeglowania. Niech inni kiszą się w tym mleku na plaży.

I mówiąc te słowa, wprowadził łódź w sam środek białej i gęstej ściany mgły.

## Rozdział 14

### Śmiertelny strach

Było zimno. Ledwie łódź wpłynęła w mgłę, otoczył nas wilgotny chłód i mętny półmrok. Ogarnął mnie niepokojący strach, przywołując uczucie, jakiego doznałam na cmentarzu. Wydawało mi się, że płynę tą łodzią prosto do świata pomiędzy życiem i śmiercią.

Z oddali słyszałam głosy przebijające się przez mgłę, jednak stawały się one coraz cichsze.

- Robert, zawróć! - poprosiłam. - Bardzo cię proszę, wracajmy.

Ale Robert wyśmiał tylko mój strach i niewzruszenie trzymał kurs.

I nagle mgła rzeczywiście ustąpiła, jakby ją ktoś zdmuchnął. Horyzont znów był widoczny. Jednak to, co na nim ujrzałam, nie było obiecany przez Roberta słońcem i błękitnym niebem. Ciemne i groźne zwały chmur piętrzyły się nad wzburzoną, szaroczną wodą i zmierzały wprost na nas.

Przez chwilę Robert wydawał się poirytowany tym faktem. Szybko się jednak pozbierał. Z wyzywającym śmiechem skierował łódź prosto w nadciągającą burzę. A kiedy szarpnęły nią pierwsze porywy wiatru i lunął rześisty deszcz, zawołał do mnie:

- Przeznaczenie, Conny! To nazywam przeznaczeniem! Co na to powiesz?

Ponownie wybuchnął śmiechem. Przestraszyłam się, ponieważ nie brzmiał radośnie, tylko złośliwie. I kiedy popatrzyłam na niego wstrząśnięta, szare oczy miał tak lodowate jak jego dziadek. Zdałam sobie wtedy ostatecznie sprawę, że dzieliła nas nie tylko tajemnica rodzinna, ale przede wszystkim apodyktyczność jego przodków. Najwyraźniej odziedziczona dzikość i arogancja, z jaką chłopak brał, co chciał, nie bacząc przy tym na uczucia innych

ludzi. To nie Constanze i Wilhelm stali na drodze do naszej miłości, tylko sam Robert!

Wykonywał jeden ryzykowny manewr za drugim, a kiedy wreszcie doszło do niego moje przerażone wołanie, odkrzyknął prowokująco, przekrzykując ryk sztormu:

- I co? Jak ci się podoba? Obiecałem ci zbyt wiele? Przecież lubisz romantyczność! Popatrz, jak los ułatwia nam sprawę! Czy to nie romantyczne, zginąć wspólnie w szalejącym sztormie?

Z nieco rozpaczliwie brzmiącym śmiechem wychylił się daleko poza reling, aby wprowadzić łódź na grzebień fali.

Ogarnęła mnie panika, ponieważ nie mogłam pozbyć się uczucia, że znajduję się na pokładzie z obłąkańcem, który zapomniał o otaczającym go świecie i prowadził wyłącznie pojedynek z wiatrem i falami, nie mogąc z nimi wygrać.

- Robert, co ty robisz? - wrzasnęłam. - Zawracaj! Chcesz nas zabić?!

- Dlaczego nie! - odkrzyknął, śmiejąc się jak opętany. - Może zaświaty będą dla nas lepsze niż ten padół łez!

Zrobiło mi się niedobrze. Czy on zupełnie zwariował?

Zebrałam siły i spróbowałam odebrać mu ster, ale odepchnął mnie brutalnie. Upadłam i przy następnym manewrze zsunęłam się na przód łodzi. Usiłowałam złapać szot, fruujący razem z luźnym fokzagle. Kiedy wreszcie udało mi się go chwycić, lina nieoczekiwanie wbiła się w moje nadgarstki. Mimo to trzymałam ją zawzięcie.

On prowadzi jakąś grę, pomyślałam przy tym. Dziką i niebezpieczną! Zapowiedział to przecież. Chce mi tylko napędzić strachu. Nie mówił tego wszystkiego poważnie. Może w ten sposób usiłuje mnie zmusić, żebym zaprzestała poszukiwań na temat Constanze i Wilhelma.

Może rzeczywiście to on wysyłał mi SMS - y z groźbami. Może działał nawet na zlecenie rodziny!

- Robercie, dlaczego to robisz? - zawołałam, usiłując przekrzyczeć burzę. - Co twoja rodzina ma do ukrycia? Chcesz zabić siebie i mnie, aby nikt tego nie poznał?

Ponownie wybuchnął śmiechem, ale brzmiał on podobnie rozpaczliwie jak wcześniej.

- Kochałem cię, Conny! - odkrzyknął. - Chciałem cię mieć od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem! Ale ty, ty wszystko popsulaś swoją przeklętą ciekawością! Szpiegowaniem! Co cię obchodzi historia mojej rodziny? Czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś?

Robert kurczowo trzymał łódź pod wiatr i wykrzyczał mi prosto w twarz:

- Powinienem przekląć dzień, w którym cię poznałem. Od tej chwili cały mój świat, z którego byłem dumny, rozpadał się kawałek po kawałku!

- Ale dlaczego? - spytałam przerażona. - Co takiego straszego zrobiłam?

- Co zrobiłaś? Odebrałaś mi rodzinę! Mojego dziadka! Był dla mnie wzorem! Podziwiałem go, kochałem!

Nie rozumiałam, co miał na myśli. Musiał wiedzieć coś, o czym ja nie miałam pojęcia. Czy jego dziadek był zamieszany w tajemniczą aferę wokół Wilhelma i Constanze?

- O co chodzi z twoim dziadkiem? - odkrzyknęłam.

- On ich zabił! Oboje! Zamordował Wilhelma i Constanze! Wszystko już popadło w zapomnienie, ale ty to rozgrzebałaś!

Nie byłam w stanie pojąć tego, co słyszałam.

- Jak to? Skąd o tym wiesz? - zawołałam, przebijając się przez burzę.

Robert nie odpowiedział. Był teraz kompletnie pochłonięty wykonywaniem karkołomnych manewrów. Walka z żywiołem coraz bardziej go prowokowała i podniecała, raz po raz dobiegał mnie jego szaleńczy śmiech.



Postradał zmysły, pomyślałam zrozpaczona, nie wie, co robi. Bałam się tak samo o niego, jak o siebie. Mimo to próbowałam z nim dyskutować, choć burza porywała mi słowa z ust i wiatr unosił je, zanim dotarły one do uszu i serca Roberta.

Trzymał kurczowo ster i szot grota. Patrzył na mnie. Miałam twarz lodowatą z zimna i na pewno aż białą z przerażenia, jak marmurowa podobizna na cmentarzu św. Magnusa. Czułam się, jakbym za chwilę miała umrzeć ze strachu, byłam jednak gotowa do walki. Nie tylko o własne życie! Miałam jeszcze jedno zadanie. Wrogowie Wilhelma i Constanze nie mogli zwyciężyć po raz drugi. Sprawiedliwość, pomyślałam zrozpaczona. Musi przecież istnieć sprawiedliwość.

- Dosięgnie twoją rodzinę - szepnęłam. - Już jej nie wypuści, Robercie. Możesz zabić mnie i siebie, ale przez to nie zmyjesz winy. Będzie jeszcze większa, jeśli bezsensownie pozbawisz nas życia!

Robert widział chyba, że coś mówię, wątpię jednak, aby zrozumiał choć jedno moje słowo. Mimo to nie był w stanie oderwać wzroku od mojej twarzy.

Dostrzegłam bezsens przemowy i zamilkłam. Mimo szalejącej burzy między nami panowała bolesna cisza, niepokojąca jak ta w oku cyklonu. Nienaturalne milczenie, w którym pobrzmiwała groźba końca. Nie byłam w stanie już nic powiedzieć. Bo i po co? Musiałam zdać się na jego łaskę i niełaskę. Nieraz powtarzał, że mnie kocha, pomyślałam. Czy mógł mnie kochać i jednocześnie pozwolić na to, abym zginęła w tym sztormie? Wreszcie krzyknęłam, powodowana rozpaczą:

- Myślę, że mnie kochasz! Jak możesz mówić coś takiego i nie dać mi później choćby najmniejszej szansy!

Wydawało mi się, że Robert się wzdrygnął i nagle rozpoznał prawdziwe niebezpieczeństwo, w jakim się znajdowaliśmy. Z przerażeniem w oczach rozpoczął manewr zawracania łodzi.

- Kocham cię! - krzyczał przy tym. - Naprawdę cię kocham! Musi znaleźć się dla nas jakaś droga, obojętnie, co powie na to moja rodzina!

Poluzował szot grota w tym momencie, gdy podmuch wiatru ponownie z pełną siłą nadał żagiel. Wyrwał mu linę z ręki, łódź wykonała niekontrolowany hals i bom przeleciał na drugą stronę. Uderzył mnie z boku w plecy. Krzyknęłam przerażona i wyciągnęłam ręce, żeby się czegoś złapać, i trafiłam w próżnię. Runęłam tyłem za reling, prosto w szaroczną wodę. Kątem oka zauważyłam jeszcze, jak bom, powracając na miejsce, zmiata z pokładu również Roberta. Podczas gdy dzięki kamizelce ratunkowej dryfowałam na powierzchni, kolejne podmuchy wiatru szarpały łodzią niczym potężna pięść, po czym rzuciły ją na grzebień nadciągającej potężnej fali. Przewróciła łódź na burtę i z hukiem przelała się przez nią.

Gdy wynurzyłam się z przetaczającej się nade mną kipieli, jola dryfowała kilka metrów dalej kilem do góry. Roberta nie było nigdzie widać. Rozpaczliwie próbowałam dopłynąć do łodzi, ponieważ była to moja jedyna szansa przeżycia tego chaosu. Fala przyniosła mnie do dziobu, uczepiłam się go mocno. Następnie z wielką ulgą dostrzegłam, jak Robert przedziera się kraulem przez fale.

Żyje, pomyślałam, i ta myśl dodała mi nadziei.

Robert podpłynął do mnie, żeby pomóc mi wdrapać się na kadłub.

- Nie dam rady! - zawołałam, z trudem łapiąc oddech. - Moje nogi! Coś owinęło mi się wokół nóg! Jestem unieruchomiona.

Robert zanurkował we wzburzonym morzu, ale musiał się poddać płataninie lin i węzłów, która mnie trzymała. Nie było ucieczki.

Kiedy zrozpaczony wynurzył się na powrót, chwyciłam się przymocowanej do łodzi liny. Pomógł mi przeciągnąć ją pod ramionami i przywiązać do kółka na dziobie. Dzięki temu utrzymam się przy łodzi i nie dam ponieść falom.

- Muszę popłynąć do lądu! - krzyknął mi do ucha. - Sprowadzić pomoc!

- Nie! Proszę, nie zostawiaj mnie samej! - W panice krew odpłynęła mi z twarzy.

Zanim Robert odpłynął, pocałował mnie.

- Boże! - usłyszałam jego błaganie. - Nie pozwól, aby moja rodzina miała na sumieniu jeszcze jedną Constanze!

Z przerażeniem patrzyłam na odpływającego Roberta. Nigdy nie dopłynie do brzegu, pomyślałam zrozpaczona. Dlaczego zostawił mnie samą? To, co robił, nie miało przecież sensu. Czy nie mógł zostać przy mnie, żebym nie musiała umierać w samotności? Próbowałam walczyć z rezygnacją, starałam się nie tracić odwagi i nadziei na ratunek. Może Robertowi jednak się uda. Był dobrym pływakiem, świetnie wytrenowanym. Może dotrze do brzegu. Może zaalarmuje Nilsa i sprowadzi pomoc. Wkrótce jednak czułam już tylko ołowiane zmęczenie i lodowate zimno rozchodzące się po całym ciele i sięgające aż do serca. Biło coraz wolniej i wolniej... Poczułam się, jakbym spadała w ciemną studnię. Spadałam i spadałam, aż ujrzałam na drugim jej końcu jasne światło i z tego światła wyciągnęła się do mnie czyjaś ręka. Należała do Constanze, dziewczyny zjawy.

- Conny! Conny! Obudź się! Otwórz oczy! No już! Pozbieraj się, dziewczyno! Otwórz oczy! Nie, nie śpij! Otwórz oczy! Conny!

Poczułam, że ktoś mną potrząsa i z całej siły próbuje przeszkodzić, abym chwyciła wyciągnięto do mnie rękę. Otworzyłam oczy.

Ujrzałam przed sobą mokrą głowę pełną loczków. Yannik.

- Bogu dzięki! - wykrzyknął właśnie. - Nils, ona przychodzi do siebie!

Leżałam na przedzie klubowej żaglówki, a Yannik klęczał obok mnie. Znow rozcierał mi dłonie i stopy, żeby przywrócić życie w wyziębione ciało, co tym razem było znacznie trudniejsze. Niewiele brakowało, a on i Nils przybyliby za późno.

Uznali to za cud, że po rozpaczliwych poszukiwaniach natknęli się nagle tuż przed sobą na przewróconą łódź. Cud okazał się jeszcze większy, gdy odnaleźli unoszącą się na wodzie kamizelkę ratunkową, przyczepioną do dzioba, a w niej mnie, nieprzytomną, ale żywą.

Po wielu próbach nurkowania udało im się wreszcie oswobodzić mnie z płątaniny lin i wciągnąć na pokład swojej joli.

- Kiedy leżałaś taka lodowata, obawiałem się najgorszego - powiedział Yannik.

- Mimo to od razu zaczął udzielać ci pierwszej pomocy - wpadł mu w słowo Nils. - I jak widać, z sukcesem!

Natychmiast podjął kurs i skierował łódź w stronę brzegu. Nie było chwili do stracenia!

- Jak najszybciej musisz trafić w ręce fachowca - stwierdził Yannik.

- Robert? - wyjąkałam. - Gdzie jest Robert?

- Szukają go jeszcze - uspokoił mnie Yannik, odgarniając czule mokre włosy z mojej twarzy.

Nils wezwał przez komórkę karetkę i kiedy łódź dobiła do brzegu, podbiegło do nas dwóch sanitariuszy z noszami. Zanieśli mnie do karetki i odwieźli do szpitala. Yannik nie

odstępował mnie na krok, podczas gdy Nils z innym żeglarzem wrócił na morze szukać Roberta.

Gdy zostałam opatrzona medycznie, Yannik mógł usiąść na skraju mojego łóżka. I tam go zobaczyłam, obudziwszy się z krótkiego, uspokajającego snu.

- Czy już umarłam? - spytałam cicho. Yannik roześmiał się.

- Nie! Ale w ostatniej sekundzie wymknęłaś się śmierci spod kosa! Dziewczyno, z tobą nie można narzekać na brak stresów!

Przywołałam na twarz zmęczony uśmiech.

- Sorry - wymruczałam, znów zapadając w sen. - Już tego więcej nie zrobię...

Gdy obudziłam się następnym razem, Yannik powiedział mi, że Roberta wyrzuciło na trochę dalszą plażę.

- Dotarł do schroniska, kiedy Nils stracił nadzieję i przekazał poszukiwania policji wodnej. Totalnie wyczerpany upadł przed wejściem. Nikt nie mógł z niego niczego wydobyć, poza twoim imieniem, które ciągle mamrotał. Bardzo powoli docierało do niego, że już dawno cię odnaleziono i byłaś w bezpiecznym miejscu.

- Gdzie on teraz jest? - spytałam.

- Jego również przewieźli do szpitala, przypuszczam, że zatrzymają go tutaj na obserwację przynajmniej na dzisiejszą noc.

Następnego ranka grupa zgodnie z planem miała wracać do domu. Jednak beze mnie i Roberta.

Wypogodziło się, więc pożegnanie wypadło dość sympatycznie. Yannik, Nils i Lena odwiedzili mnie jeszcze raz w szpitalu i przynieśli ogromny bukiet róż, coś do czytania i trochę słodczy

- Biada ci, jeśli opuścisz łóżko albo zrobisz jakieś inne głupstwo, zanim nie odbiorą cię rodzice! - ostrzegła mnie

Lena. - A gdyby Robert się ważył choćby wetknąć głowę do  
twojego pokoju, dzwoń natychmiast po pielęgniarkę!

## Rozdział 15

### Grzechy ojców

Gdy obudziłam się po raz kolejny, moja pierwsza myśl dotyczyła Roberta. Zastanawiałam się, co tak naprawdę mogło go popchnąć do tego rozpaczliwego czynu. Chciałam przynajmniej go zrozumieć i kiedy przyszła do mnie pielęgniarka, spytałam, gdzie go znajdzie.

- Na oddziale prywatnym - odparła. - Leży na sali jednoosobowej.

Trafił więc lepiej ode mnie, a ponieważ chciałam porozmawiać z nim w cztery oczy i bez asysty innych pacjentów, zarzuciłam na siebie szlafrok i wyszłam z sali.

Chodzenie sprawiało mi dziwną trudność, ponieważ piekielnie bolały mnie wszystkie kości i mięśnie.

Skrecając w korytarz prowadzący na oddział prywatny, zawahałam się. Czy nie powinnam raczej zawrócić? Nagle usłyszałam gwałtowną wymianę zdań zza drzwi, które były niedomknięte.

Przystanąłam, nasłuchując ciekawie, i zajrzałam przez szparę. Robert siedział w piżamie na łóżku, podczas gdy wysoki mężczyzna, zwrócony do mnie plecami, stał przy oknie.

- Jak mogłeś wystawić tę dziewczynę na takie niebezpieczeństwo! - powiedział właśnie i gdy odwrócił się przy tych słowach, byłam przekonana, że mógł to być tylko ojciec Roberta. - Myślałem, że jesteś wystarczająco doświadczonym żeglarzem, żeby nie podejmować takiego ryzyka!

Robert miał opuszczoną głowę.

- W normalnych warunkach nigdy bym tego nie zrobił - powiedział zrozpaczonym tonem. - Kochałem ją, a kiedy dziadek wszystko mi opowiedział, zrozumiałem, że jego zbrodnia już na zawsze zostanie pomiędzy nią a mną.

Ojciec Roberta zrobił dwa kroki w kierunku swojego syna. Zatrzymał się jednak przy łóżku i dużymi, żylastymi dłońmi objął barierki na jego końcu.

- Jaka zbrodnia? - spytał.

- Dziadek nie rozmawiał z tobą o tym? - Z tonu Roberta przebijało niedowierzenie. - Naprawdę nie wiedziałeś, że ma na sumieniu Wilhelma i Constanze? I że zrobił to tylko dlatego, żeby zawładnąć majątkiem Constanze i firmą?

Zauważyłam, jak na dłoniach mężczyzny aż pobieleły kości, tak mocno ścisnął barierkę.

- Trzymaj swój język na wodzy, Robercie! Nie myśl, że odwrócisz moją uwagę od swojego lekkomyślnego zachowania, obwiniając innych. Twój dziadek całe życie poświęcił firmie.

- Och tak, i aby znaleźć się w jej posiadaniu, szedł dosłownie po trupach! - Robert podniósł głowę i przekornie spojrział ojcu w twarz. - Postarał się o to, żeby Wilhelma wysłano na front wschodni, a potem z pomocą swoich podejrzanych przyjaciół politycznych usunął Constanze, a kiedy Wilhelm wrócił i zażądał wyjaśnień, zastrzelił go z zimną krwią!

- To ciężkie oskarżenia, mój chłopcze, jakie wytaczasz przeciwko swojemu dziadkowi, a mojemu ojcu. Skąd masz wiedzę i dowody na to? Czy twoja przyjaciółeczka zaraziła cię bujną fantazją?

Byłam zdecydowana wkroczyć do sali, aby stanąć po stronie Roberta, kiedy ten zeskoczył energicznie z łóżka, stanął oko w oko z ojcem i wykrzyczał mu prawdę prosto w twarz.

- Fantazja? O nie, Conny niczego nie zmyśliła. Ale była bardzo blisko prawdy i wkrótce na pewno by ją odkryła! Mimo moich prób zastraszenia jej i odciągnięcia od poszukiwań. Nie, tato! Wieczorem, w dniu waszego powrotu z



Ameryki, zanim jeszcze przyjechałem tu z grupą żeglarską, dziadek sam mi wszystko wyznał.

- Ale dlaczego? Co było tego powodem i dlaczego zrobił to teraz, po tylu latach? - Ojciec Roberta puścił barierki i, unikając wzroku syna, podszedł z powrotem do okna.

- Dziadek bał się, że prawda wyjdzie na jaw. Z powodu planowanego wprowadzenia firmy na giełdę obawiał się przede wszystkim skandalu. Miałem mu pomóc, aby jakiegokolwiek odkrycia Conny i Yannika nie przedostały się do opinii publicznej. Już przed paroma tygodniami zaczął wywierać na mnie presję, wiedząc doskonale, czego można się doszukać w archiwach.

Ojciec Roberta odwrócił się i ujrzałam twarz, na której malował się wstrząs i ból.

Schowałam się w załomie korytarza, gdy ojciec zwrócił się nagle do Roberta:

- Przygotuj się, a ja w tym czasie załatwię formalności na izbie przyjęć - i wybiegł z pokoju. Szybkim krokiem skręcił w następny korytarz.

Ostrożnie włożyłam głowę do pokoju.

- Robert?

Podniósł wzrok. Uśmiech, z jakim zazwyczaj mnie witał, kompletnie mu nie wyszedł. Zupełnie zdumiony powiedział:

- Po tym wszystkim jeszcze do mnie przychodzisz? Sama tego nie rozumiałam, ponieważ po wczorajszym zdarzeniu przysięgam sobie, że nigdy więcej nie znajdę się w jego pobliżu. Tymczasem jednak zaczynałam rozumieć, a im więcej rozumiałam, tym mniej uważałam go za winnego.

- Nie jesteś odpowiedzialny za grzechy swojej rodziny - powiedziałam cicho. - Wina twojego dziadka nie musi przecież ciążyć na tobie.

- Ale omal cię nie zabiłem podczas tego szaleńczego rejsu.

Zanim przeżyty koszmar zdążył powrócić, zdławiłam go dzielnie i powiedziałam:

- Byłeś zrozpaczony... ty... nie byłeś sobą...

- To było jak przekleństwo - powiedział zamyślony. - Chciałem tylko uwolnić się od rodziny, a w szczególności od dziadka.

- Kiedy z nim rozmawiałeś? - spytałam. - Opowiedz mi, co ci powiedział.

Robert zawahał się, widziałam, że sporo go kosztowało, aby wyjawic przede mną ciemny rozdział historii rodzinnej. Nie wiedział, że podsłuchiwałam jego rozmowę z ojcem i najgorsze już znałam.

- Rozmowa z ciocią Luisą zostawiła wiele otwartych kwestii, dlatego wieczorem przed naszym wyjazdem nad Bałtyk poprosiłem o rozmowę dziadka.

Natychmiast zrozumiałam, dlaczego w trakcie jazdy był tak dziwnie rozdrażniony.

Po chwili milczenia podjął opowieść z głęboką konsternacją w głosie.

- Constanze nie straciła życia w nalocie bombowym. Zniknęła zaraz po wyjeździe Wilhelma na front. Ciocia Luisa dała mi jeszcze po naszej rozmowie paczkę listów wysłanych pocztą polową przez Wilhelma. Wszystkie były listami miłosnymi, które nie doszły już do jego ukochanej.

- Ale komu zależało na tym, żeby rozdzielić Wilhelma i Constanze i dlaczego? - Chciałam nareszcie mieć jasność w temacie. Po powrocie z tej podróży nie zamierzałam więcej zajmować się przeszłością Sunderburgów, cmentarzami czy duchami.

- Wiesz, że mój pradziadek adoptował Constanze. Posiadała duży majątek, którym pradziadek miał zarządzać do ukończenia przez nią osiemnastu lat. Zainwestował go w firmę.

- Mógł to zrobić?

- Nie, właściwie nie, ale kryzys światowy bardzo osłabił firmę. Majątek Constanze uratował ją przed bankructwem.

- No dobrze - powiedziałam - ale na czym polegał prawdziwy problem?

- Pamiętaj, że nasza fabryka przestawiła się na produkcję broni i sprzętu wojskowego?

Skinęłam głową.

- I to właśnie stanowiło problem. Wilhelm był zdeklarowanym przeciwnikiem wojny, dzisiaj nazwalibyśmy go aktywnym pacyfistą. Był przeciwny ponownym zbrojeniom Niemiec i krytykował osoby podżegające do wojny. Chciał poślubić Constanze, wyprowadzić jej pieniądze z firmy i przenieść się za granicę. Oznaczałoby to plajtę. Mój pradziadek i dziadek Friedrich nie chcieli do tego dopuścić. Kiedy Constanze, pragnąc odzyskać swoje pieniądze, włączyła do gry prawników, dziadek dostrzegł tylko jedną możliwość uratowania firmy: dziewczyna musiała zniknąć...

Na czole Roberta pojawiły się kropelki potu. Niespokojnie pocierał dłonie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak uwielbiałem, jak czciłem dziadka. I nagle dowiedziałem się, że to on stał za zniknięciem Constanze. Kiedy Wilhelm znalazł na to dowody, przyszedł do firmy i zażądał wyjaśnień, brat zastrzelił go z zimną krwią. W obronie własnej, jak mi powiedział.

- Czy rzeczywiście mogło tak być? - spytałam, chcąc mu pomóc.

On jednak popatrzył na mnie niewidzącym wzrokiem i powiedział gorzko:

- Piękna teoria. Ta obrona własna zamknęła na zawsze usta oskarżycielowi, a z mojego dziadka uczyniła spadkobiercą firmy!

Pomyślałam o dziwnie suchej notatce w gazecie i przypuszczeniach Yannika, że szczegóły śmierci Wilhelma zostały celowo zatuszowane przez rodzinę Sunderburgów. Jakże bliscy byliśmy prawdy!

- Czy wiadomo, jak zginęła Constanze? - spytałam z wahaniem, ponieważ nie chciałam jeszcze pogłębiać jego bólu.

Pokręcił głową.

- Dziadek oszczędził mi szczegółów. Nie wiem, jak to się stało i kto za niego wykonał brudną robotę. I wcale nie chcę wiedzieć. Denuncjatorzy, opłaceni porywacze, skrytobójcy... wtedy było sporo możliwości.

Ogarnęło mnie współczucie dla Roberta. Jakże bezgraniczne musiało być jego rozczarowanie, kiedy odkrył, że człowiek, którego podziwiał najbardziej na świecie, okazał się denuncjatorem i przebiegłym mordercą.

- Ale dlaczego Wilhelm ufundował Constanze anonimowy pomnik?

- Constanze jakby zapadła się pod ziemią. Nie znaleziono zwłok, a rodzina, za namową Friedricha, nie zgodziła się na postawienie krzyża pamiątkowego w kwaterze Sunderburgów. Przypuszczalnie dziadek chciał wymazać pamięć o niej, wierząc, że tym samym będzie mógł zmazać swoją winę. Wilhelm, wbrew woli rodziny, ufundował anonimowy kamień pamiątkowy z jej portretem. I ustawił go w tajemnicy, w ciągu jednej nocy. Każdy, kto ją znał, wiedział więc, że kamień był poświęcony Constanze. Tylko dla nas pozostała bezimienna.

Przed oczyma stanęło mi zdjęcie wychudzonego blondyna powracającego z wojny, w długim, zniszczonym płaszczu wojskowym. Jakiego straszliwego przestępstwa dopuścił się na nim jego rodzony brat!

- A dlaczego twój dziadek wciąż jeszcze opłaca miejsce, na którym stoi kamień?

Robert wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może chce się w ten sposób wykupić od winy? Kto wie?

Popatrzył na mnie poważnie, a w jego oczach dostrzegłam jakby lekki podziw.

- Conny, udało ci się to, do czego przez cały czas dążyłaś. Wydobyłaś Constanze z zapomnienia.

Zamilkliśmy na chwilę, w pomieszczeniu zapadła uciążliwa cisza.

- Wiesz, Conny - odezwał się wreszcie Robert w zamyśleniu - co uważam za najgorsze w tej całej historii? To, że mój dziadek najwyraźniej do dziś nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia. I jeszcze to jest okropne, że tak długo mu wierzyłem.

Spojrzał na mnie smutno, a w tym spojrzeniu były miłość i czułość.

- Nie wymagam, abys mi wybaczyła, ale naprawdę cię kochałem, tylko dlatego to zrobiłem. Nie chciałem poświęcić miłości żyjących zmarłym. Możesz to zrozumieć?

A więc jednak! Miłość żyjących! To rzeczywiście on przysyłał mi te przerażające groźby na komórkę. I w czasie, w którym, jak twierdził, kochał mnie, działał w imieniu dziadka.

Przerażenie z powodu tego odkrycia musiało być widoczne na mojej twarzy, ponieważ Robert powiedział uspokajająco, ale bez prawdziwego przekonania:

- Zrobiłem to wyłącznie dla nas. Podeszłam do drzwi.

Wszystko zostało powiedziane, chciałam stąd wyjść i zostawić za sobą to, co w ostatnich tygodniach tak bardzo wytrąciło z równowagi moje życie, zmysły i zdrowy rozsądek. A także Roberta i jego zdradę.

- Jeśli teraz odejdziesz - odezwał się - już nigdy więcej się nie zobaczymy. Po praktyce wracam do internatu, a ty o mnie zapomnisz. Chcę spróbować spłacić choć część winy dziadka.

Może uda mi się przekonać ojca, aby wpłacił pieniądze Constanze na konto jakiejś fundacji. Organizacji pacyfistycznej, sierot wojennych... tak sobie pomyślałem...

Kiedy otworzyłam powoli drzwi, Robert miał bardzo nieszczęśliwą minę.

- Z całą resztą musimy uporać się sami, ja i moja rodzina. Wybacz mi, jeśli potrafisz i bywaj zdrowa.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi i odetchnęłam z ulgą. Wiedziałam, że teraz już wszystko będzie dobrze.

## Epilog

Barwinek i konwalie dawno już przekwitły. Na cmentarzu św. Magnusa ścięto trawę, skończono też prace wiosenne na grobach.

Z kamienia pamiątkowego usunięto pnącza dzikiego bluszczu. Gdy zbliżaliśmy się do niego z Yannikiem, trzymając się za ręce, dostrzegłam z daleka nową inskrypcję.

Robert dotrzymał obietnicy i najwyraźniej przeforsował w rodzinie, aby wreszcie wydobyć Constanze z zapomnienia.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu przed głazem, modliłam się, aby dusza Constanze odnalazła teraz spokój.

- Chodźmy jeszcze na grób Wilhelma - odezwałam się wreszcie.

Na skraju kwatery Sunderburgów zatrzymałam się jednak nagle i przytrzymałam Yannika.

Przed grobem wyraźnie widziałam wysokiego blondyna w długim, wojskowym płaszczu w czułym uścisku z drobną, ciemnowłosą dziewczyną.

- O, całuje ją - szepnęłam - widzisz?

Zanim jednak Yannik zdążył zaprzeczyć, para rozwiała się w delikatny, lśniący obłoczek mgły, który unosił się powoli ku wieczornemu niebu.

Wydawało mi się, że słyszę dobrze znaną melodię i tekst piosenki, który do dziś niewłaściwie rozumiałam.

...she 's got the lover... she was dreaming of...

- Chyba się rozplynęli - powiedziałam po chwili milczenia. - Byli tacy inni niż wszystkie dotychczasowe zjawy. Tacy promienni i spokojni.

Yannik, który naturalnie znów niczego nie widział, roześmiał się rozbawiony moim wizjonerstwem.

- Wobec tego ja też chcę, żebyś się rozpromieniła - powiedział. - Bo spokojna to ty nigdy nie będziesz, moja mała czarownico!

Wziął mnie czule w ramiona i pocałował.  
Zanim wyszliśmy z cmentarza, złożyłam na grobie  
Wilhelma bukiet kwiatów i szepnęłam:  
- From Constanze with love...